

777

# NAOKOŁO ŚWIATA

4471

N.  
89

KASYNÓ POLSKI  
KRAKÓW

2-50

K. WIELZMICKI 3





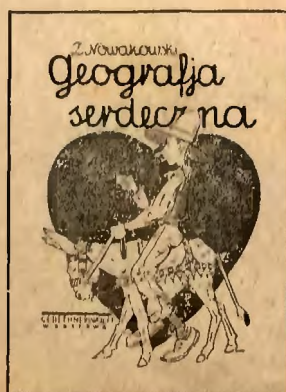
# NAJLEPSZA LEKTURA NA LATO I W PODRÓŻY KSIĄŻKI LILJOWE



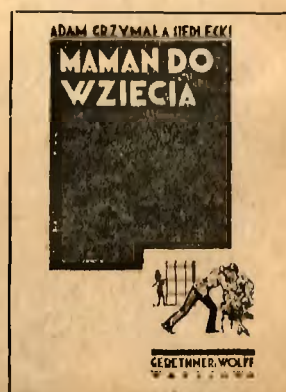
ŻĄDAJCIE ICH W KAŻDEJ KSIĘGARNI  
I KIOSKACH T=WA „RUCH”

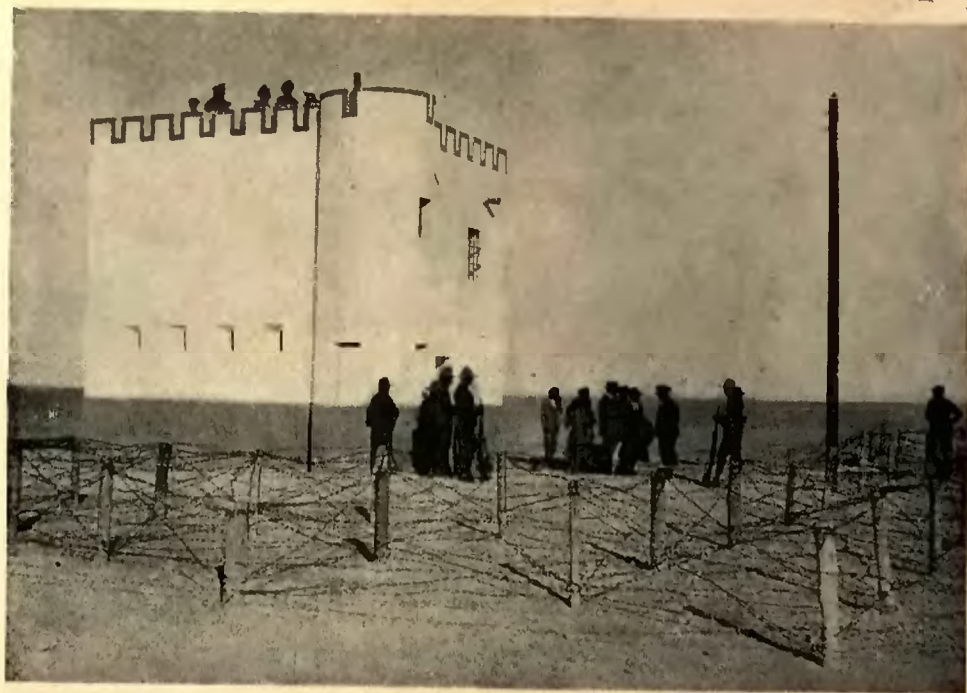


TOM  
zł.  
5.80



TOM  
zł.  
5.80





Forteczka na pustyni (Maroko)

Fot. Pac. Atl.

---

## KASYNÓ POWSZECHNE KRAKÓW, RYNNEK GŁ. 10.

---

### Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Lato się kończy, a z niem i słońce, i moda opalania się. Odrzucamy więc włoski olejek orzechowy, który sprzyjał opalaniu się i staramy się doprowadzić cerę swoją do należytego wyglądu. Przedewszystkiem trzeba się pozbyć pryszczy, wyrzutów i szorstkości skóry, a następnie opalenizny. Żeby cerę doprowadzić do porządku, zalecam mycie się na noc ciepłą wodą bez mydła, a *Otrąbkami Abaridowemi*, które doskonale oczyszczają i odtłuszczają pory, a następnie wetrzeć w twarz cokolwiek *kremu Abarid* i przypudrować *pudrem Abaridowym*. Rano twarzy nie myć, a kawałeczkiem waty, zmoczonej *Goldcremem płynnym Abaridowym* zmyć dobrze twarz i przypudrować lekko *pudrem Abaridowym*.

Jeżeli chcemy cerę wybielić, to wśród dnia 2—3 razy dziennie wytrzeć twarz watą, zmoczoną we *wschodnim płynie Mimoza* i lekko przypudrować wybielającym pyłkiem *Juvenia Candida*. Wogóle do konserwacji i pielęgnowania twarzy, lepszych środków nad *Wschodni płyn Mimoza* i *krem, puder oraz otrąbki Abarid* niema, i dlatego wyroby te cieszą się takim uznaniem i powodzeniem u Pań. Ręce proszę po każdym zmyciu smarować *kremem prałatów*, a jeżeli idzie o wybielenie, to na noc, po wysmarowaniu, grubo przypudrować pyłkiem *Juvenia Candida*, a ręce będą miały nadzwyczajną gładkość, białość i delikatność. Jeżeli w lecie zapuściliśmy cokolwiek włosy na rękach, nogach i pod pachami, to jako najlepszy, działający pewnie i delikatnie, polecam *Epl-Max*, który w ciągu 3—4 minut zbyteczne włosy usunie.

M-me Ercèdes



# Treść Numeru 89-go

Str.

<i>Julj. B-ski:</i>	
Ziełę Dionizosa (10 ilustracji) . . . . .	3—12
<i>Zygmunt Troniewski:</i>	
Szaleństwa Jani Wilczury (8 ilustracji J. Radlicza) .	13—30
Apteczka domowa cz. I. (1 il. M. Walentynowicza)	31—32
<i>Jan Starża Dzierżbicki</i>	
Dusza miast polskich w świetle astrologii (6 ilustracji)	33—40
Ilustracje . . . . .	41—43
Dział grafologa. Odpowiedzi . . . . .	49—50
<i>Jerzy Ronard Bujański:</i>	
Mikrofon i jego tajemnice (9 ilustracji) . . . . .	51—62
<i>J. B. Rychliński:</i>	
W kraju północnego słońca (9 ilustracji) . . . . .	63—74
Szkice psychologiczne (1 ilustr. Z. Jurkowskiego) . .	75—76
<i>Helena Schupp-Rudkowska:</i>	
Pierwsza „sensacja” (5 ilustracji A. Siemaszko) . . .	77—90
<i>M. Białęcki:</i>	
Tajemnice gwiazd (3 ilustracje . . . . .	91—96
Ilustracje . . . . .	97—100
<i>K. Marcinkiewicz:</i>	
Czcieciele księgi Zohar (5 ilustracji) . . . . .	101—103
Dział grafologa. Odpowiedzi . . . . .	107—108
<i>M. J.:</i>	
Figle na plaży (5 ilustracji) . . . . .	109—120
<i>Jim:</i>	
Jedziemy „piętnastką” (9 ilustracji) . . . . .	121—130
<i>K.:</i>	
Dokumenty zabezpieczone na 10.000 lat . . . . .	131—132
Ilustracje . . . . .	133—136
<i>Z.:</i>	
Za kulisami nowojorskiej rozgłośni . . . . .	137—140
Ilustracja . . . . .	141—142
Cichy dom w śródmieściu (1 il. M. Walentynowicza)	143—144
<i>Jerzy Borycki:</i>	
Filmy sezonu (7 ilustracji) . . . . .	145—152
Konkurs (1 ilustracja) . . . . .	153—154
Rozrywki umysłowe (10 ilustracji) . . . . .	155—161
Świat naszych czytelników (4 ilustracje) . . . . .	165—166

Okładkę kolorową wykonał E. Wierzbicki

X-12668

4549/

/1931

II

Adres Redakcji i Administracji  
 „N A O K O Ł O Ś W I A T A”  
 Warszawa, Zgoda 12, tel. 722-14  
 Telefon ekspedycji 704-32

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i piątki  
 od godz. 18 do 19<sup>30</sup>

Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 15  
 Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką, wynosi  
 6 zł. 50 gr., zagranicą 10 zł. 50 gr.  
 Zeszyt pojedynczy 2 zł. 50 gr.

4471 4549 II  
1931/89-92  
NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 89

KASYNO POWSZECHNE  
KRAKÓW, RYNEK GL. 12.

WRZESIEŃ 1931 R.



K-88/13330  
16.03/1.200



Fot. Ruan - W-wa

Wrzesień, niestety, nie udało się całkowicie — był chłodny i dżdżysty. Może październik poprawi reputację „pięknej jesieni polskiej”



# Ziełę Dionizosa

„Głębokie rozkosze, czerpane w winie — kto was nie zaznał? Każdy, kto pragnął ukoić wyrzut, przywołać wspomnienie, zatopić ból, wznieść zamek na lodzie — wszyscy wzywali cię, bożku tajemniczy, ukryty we włóknach winnej łoży...” — mówił z zadumą Baudelaire.

„Z pomiędzy ludzkich namiętności, dwie są najbardziej boskie — powiedział kiedyś Napoleon, popijając swego ulubionego Chambertina — namiętność do wojny i namiętność do wina. Może dlatego są największym przekleństwem ludzkości?”



*Dzięki legionom rzymskim Nadrenja posiada dziś wspaniałe winnice*



*Uroczystości przy rozpoczęciu zbioru wina na Węgrzech*

„Sapias! Vina liques!!!” — woła z radosną beztroską Horacy.

Cóż za tajemnicę posiada ten napój czarodziejski, że taki mu hold składają ludzie? Cóż zawiera ten nektar, którego picie było ongiś uroczystem a nabożnem misterjum? Z czegoż składa się wino?

— Wino — odpowie chemik — złożone jest z wody (80–85%), alkoholu (9–16%), cukru, soli, barwników, ciał proteinowych, kwasów, olejków eterycznych.

— Dobrze — odpowiemy z kolei chemikowi — a któryż z tych składników jest tajemniczą duszą wina?

— Alkohol zapewne...



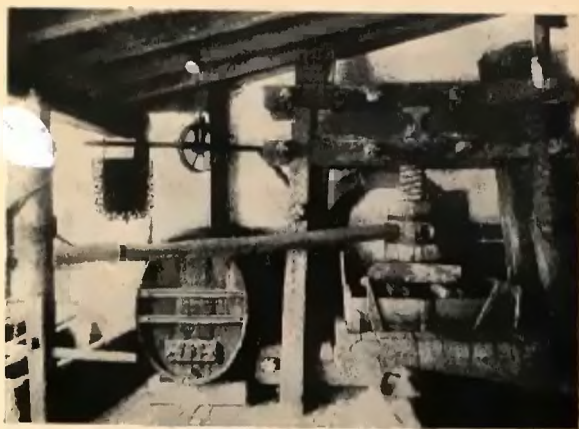
— Przecież ordynarna wódka także zawiera alkohol, a jednak...

— Alkohol dystalowany różni się od alkoholu, otrzymanego drogą fermentacji. Wprawdzie huda chemiczna jest jednakowa u obu, ale najwidoczniej wchodzi tu w grę jakieś nieznane czynniki...

Oto właśnie, Nieznane czynniki. Powiedzmy tedy otwarcie, że wino wogóle jest nieznanym czynnikiem. To, co wiemy o winie, nie da się wytłumaczyć wcale.

Například: wszystkie wina robi się mniej więcej jednakowo. Wygniała się grona, również mniej więcej jednakowe wszędzie owoce, wlewa moszcz do kadzi fermentacyjnych, zadaje drożdży rasowych, albo też nie i wystawia się na działanie ciepłej temperatury (18–20°C). Na Lewancie i w Hiszpanji, gdzie nigdzie we Włoszech dodają do moszczu suszonych rodzynek, które zawierają więcej drożdży dzikich, niż grona wielkoziarniste.

W pierwszym wypadku, z drożdżami rasowymi, fermentacja t. zw. burzliwa odbywa się ostro i trwa krótko, od 10 do 14 dni.



Starożytna prasa nadreśnikowa z początku XVIII w. (Muzeum w Spayer)

Fermentacja bez drożdży rasowych jest samorzutna, mniej energiczna i znacznie powolniejsza, bo trwa około 6 tygodni.

Fermentacja jest ciekawym procesem, czemś w rodzaju przymusowego, a powszechnego samobójstwa. Drożdże, pewien gatunek grzybka alkoholotwórczego, rozwijają się w moszczu, pożerając cukier, a wytwarzając dwutlenek węgla i alkohol. Wy-

*W jednej ze starych gospód rzymskich można zobaczyć trzechsetletnią beczkę do wina, z rzeźbionymi postaciami dnia i nocy, siedzącymi na zegarze, który stoi. Co ma oznaczać, że przy winie, czas nie płynie*



Starożytni cenili wino. Przechowywali je w wielkich, glinianych, lub drewnianych beczkach. Oto starorzymska beczka gliniana, trójdzielną, w której trzymać można było od razu trzy gatunki wina

tworzą go pęty, aż ilość jego stanie się tak wielka, że zabije swego własnego producenta. Zależnie od ilości cukru, w winie, po pierwszej, czyli burzliwej fermentacji, znajduje się różna ilość alkoholu. Najwyższą za-



wartością cukru, jaką drożdże mogą przerobić podczas fermentacji, jest 32%. Drożdże robią z tego połowę alkoholu. Z tych liczb wynika, że najwyższą ilością alkoholu, jaką po pierwszej fermentacji może zawierać wino, jest 16%.

Oczywiście moszcz może być bardziej, lub mniej słodki. Jeśli cukru jest mniej niż 32%, drożdże przerabiają go prawie w całości. Wtedy otrzymuje się wina lżejsze. Do takich należą prawie wszystkie wina bordoskie, a zwłaszcza tak popularny Sauterne, niektóre wina reńskie, niektóre krymskie. Jeśli grona są słodsze i moszcz zawiera 32% cukru, lub więcej, po fermentacji, oprócz alkoholu pozostaje jeszcze w winie pewna ilość cukru. Takie wino wytrawia się dopiero z latami i ich cukier przechodzi w alkohol, już nie drogą fermentacji, ale przez t. zw. inwersję, rozpad chemiczny, bez udziału enzymów drożdżowych. To są wina cięższe: hiszpańskie, niektóre włoskie, greckie, węgierskie, a z francuskich wspaniałe burgundy.

Po pierwszej, t. zw. burzliwej, albo głównej fermentacji, moszcz zawiera już alkohol; ciała białkowe i drożdże, po bohaterskiem samobójstwie opadają na dół, wino nabiera już lekkiego bukietu i jest wprawdzie jeszcze mętne, ale już znacznie klarowniejsze.

Wtedy ściągą się wino do innych naczyń i poddaje drugiej fermentacji, t. zw. cichej, jeszcze powolniejszej, trwającej, zależnie od gatunku wina od 3 do 6 miesięcy i odbywającej się w niższej temperaturze, zwykle w piwnicy. Wina ciężkie fermentują dłużej. Po ukończeniu tego procesu z wina wydzielony jest już nadmiar soli mineralnych, które osadzają się na ścianach naczynia w postaci t. zw. kamienia winnego, resztki drożdży opadają na dno w postaci mułu, zwanego technicznie lagrem winnym, wino się klaruje, nabiera swego wspaniałego bukietu, traci prawie zupełnie smak surowizny.

Oczywiście, jest to jeszcze cienkusz, lura, młode wino. Dopiero z wiekiem posmak surowizny ustępuje, resztki cukru rozpadają się na alkohol, bukiet, czyli aromat rozwija się świetnie, kolor szlachetnieje: wino „odstaje się”. (Wszystko, co jest zabawką głupców, powiada Ben Akiba, czasem traci na wartości. Wszystko zaś, co służy ku rozrywce ludzi mądrych, z latami wzrasta w cenie).

Oto niemal jednakowa zawsze historia wszystkich win.

A przecież, i tego już nie wytłumaczy żaden chemik, produkty tego samego procesu są tak różne! Oto ogniste tchnienie królewskiego węgryzyna! Jakże jest różne od pieniącego się radością szampa! Przy węgryzynie skąpiec staje się hojny, człowiek cichy i pokornego serca pragnie przywdziać zbroję i dosiąść rumaka, zawistny sobek rozjaśnia czoło i czuje, jak wspaniałomyślność przenika jego serce, pragnące ugościć świat cały! Po kilku kieliszkach Brut Impéria! śledzienik zaczyna się radować, wesołek rwie się do śpiewu, starzec śmieje się i cieszy, jak dziecko, że żyje.

— Otwieram Kreisleriana boskiego Hoffmana — mówi Baudelaire — i znajduję tam ciekawą radę. Sumienny muzyk przy komponowaniu opery komicznej powinien pić wino szampańskie; znajdzie tam perlistą wesołość, jakiej wymaga ten rodzaj. Do muzyki religijnej nadaje się wino reńskie, lub juran-sonskie: jak na dnie głębokiej zadumy tkwi w nich upajająca gorycz. Lecz muzyka heroiczna nie może się obyć bez burgunda. Daje on męski ogień i polot patryjotyczny.

Czyż dzieje się to dlatego, że do butelki szampa, dodano po wszystkich fermentacjach odrobinę cukru gronowego, przez co powstaje jeszcze jedna krótka fermentacja i zbiera się w butelce nieco dwutlenku węgla? Lub, jak to czynią Niemcy ze swym nędznym „sektem”, ładuje się do butelek ten gaz bezpośrednio ze stalowego syfona? Dlatego, że burgund, jak wszystkie czerwone wina zresztą, fermentowany jest razem z wytluszczynami, co mu nadaje szlachetną goryczkę garbnikową i pyszny, rubinowy kolor?

Wyjaśnienie takie brzmiałoby jak zgrzyt.

Owszem, powiedzmy więcej. Oto, powszechnie znane marki win, nie wychodzą, że użyjemy tego wyrażenia, od razu gotowe z drugiej fermentacji. Winnie pielęgnują je jeszcze jakiś czas, doprawiając sobie tylko znanymi mieszkankami, oczywiście nie chemicznymi, lecz złożonymi z różnych gatunków win, w niektórych wypadkach z dodatkiem tego, czy innego ziela. Esencje te, czyli t. zw. „sèves” dodawane są w minimalnych ilościach i inne są np. dla Château Lafitte, a inne dla Château Margaux. Lecz, powtórzyć należy, dodatki te są minimalne, tem bardziej, że np. we Francji wszystkie sztuki z winem są surowo zabronione. Prawodawstwo francuskie dozwala tylko na „coupage”, czyli mieszanie



wina z winem. Tedy nawet wzięcie pod uwagę domieszki „sèves” nie tłumaczy zagadkowych różnic we właściwościach win.

Lecz posiadają one jeszcze ciekawsze, a nawet zgola zdumiewające tajemnice.

Czy wszyscy wiedzą, że są np. wina, tęskniące za ojczyzną? Wina, cierpiące na nostalgię, „mal du pays”? Niektóre wina langwedockie, przewiezione do innych okolic, zaczynają burzyć się i psuć. Tylko natychmiastowy powrót może uratować je od zniszczenia. Lecz jeśli nastąpi to zbyt późno, wino traci smak, kolor, bukiet, staje się pustą, mdlą mieszaniną. Umiera.

Niektóre wina włoskie, np. świetne wino z Gragnano, pod Neapolem, można pić tylko na miejscu. Transportu nie wytrzymują, już bowiem przewiezione do Avelino, Salerno, czy Benewentu psują się niepowrotnie. Dlatego to te doskonałe wina są śmiesznie tanie.

Inne wina włoskie, przeciwnie, lubią podróżować. Frascati Rosso w ojczyźnie jest

*Pięknie rzezbiona beczka do wina z roku 1830 znajdująca się w Dreźnie. Wesoło rozmiane twarze hubaków mają nie tylko artystyczną, ale i propagandową wartość*



*Maksymilian II bawarski sławnie pijał wino. Jego portret zdobi do dziś beczkę w jednej z gospod kolońskich*



*Olbrzymia beczka dębowa, złożona z dwunastu grubych bierwion królowała w XVII wieku w piwnicach kurfiürstów bawarskich*



sobie zwykłą lura, przewiezione zaś do obcych krajów dziwnie szlachetnieje. Wiadomo zaś, że niektóre gatunki win dawnych Rzymian musiały dojrzewać na dnie galer, w nieustannych podróżach.

Są wina, które mogą być przechowywane tylko w kamiennych, wykutych w skale cysternach, albo w kamiennych stągwiach.

Jeszcze inne wina, naprzykład ciężkie wina greckie z wysp jońskich, wina kretańskie, wina z wysp Samos, Chios muszą być przechowywane w beczkach z drzewa bukowego,



*Charakterystyczna późnogotycka prasa do wina z XVI wieku, wyobrażająca Heke Pańską jest jednym z najcenniejszych zabytków „Muzeum Wina” w Speyer*

wylanych bukową smolą, co im nadaje szczególniejszy, lekko kreoizotowy posmak, jakby śwedzik, dymek. Ten dymek bywa bardzo przez znawców ceniony i, trzeba przyznać, nie jest przykry.

Również zgola niewytłumaczoną właściwością win są zmiany, zachodzące w nich z wiekiem. Wiadomo, że im wino starsze, tem lepsze. Lecz jest pewna granica, od której począwszy, wino zaczyna się powoli psuć, w tem samym tempie, co przedtem dobrało. Wina bardzo lekkie (należą do nich słabsze Saunerny, Barsaki, i niektóre czerwone bordoskie) można pić w ciągu kilku lat po wyrobieniu. Reszta win bordoskich, niektóre reńskie, krymskie, z burgundów Chablis, Beaujolais mają swój okres życiowy, wahaający się w granicach od lat 30 do 70.

Wina cięższe, węgierskie, hiszpańskie, zwłaszcza Xeres, zwany z angielską Sherry, niemal wszystkie wina południowe, dalmatyńskie, ciężkie krymskie, z burgundzkich Cham-

bertin, Pommard, a nadewszystko węgierski tokaj są matuzalami win, bowiem granica ich wieku sięga ponad 100—150 lat.

Lecz lat dwieście są dla win granicą nieprzekraczalną. Niema wina, któreby mogło wytrzymać dłużej. I znowu ciekawe zjawisko: miody, napitek naszych dziadów, są tu wyjątkiem. Miody nie mają żadnej granicy lat. Mogą stać wieki całe i będą coraz lepsze. W roku 1903, (jak pisze Niklewicz, b. inspektor winnic austro-węgierskich), przy odkopywaniu starych fundamentów w Krakowie znaleziono kilka gąsiorków miodu, zakopanych w początkach wieku XVI. Miód nie wylewał się już z tych butelek, był bowiem gęstą, galaretowatą masą. Robotnicy wrzucili trochę tej galarety do kubła wody. Po kilku łykach tej mieszaniny, wonnej, jak najlepsze wino, zwalili się pokotem na ziemię i dwie doby przespalili ciężkim, kamiennym snem. Miód ten nabył potem pewien winiarz krakowski. Pół szklanki tej galarety, dodane do beczki najmłodszego i najsłabszego cienkusza, robiło zeń natychmiast wspaniałe wino, określone przez znawców, jako stuletni tokaj.

Żadne metody chemiczne nie dadzą odpowiedzi na pytanie, czemu wina mają wreszcie starość zbyt późną, a miody nie?

Skąd pochodzi to zagadkowe ziele Dionizosa, winna loza?

Prawdopodobnie z Kaukazu, gdzie dotychczas jeszcze rośnie w stanie dzikim. Jedno tylko jest pewne, że zawsze towarzyszyło kulturze greko-romańskiej. Grecy zanieśli wino na Krym, Chersonesz i do Azji Mniejszej. Rzymianie, którzy żyć bezień nie mogli i wszędzie, gdzie stąpili, zatykali w ziemię, obok sztandarów z orłem i wilczycą — winną latorośl — obdarzyli nią Galję, półwysp Iberów, Norykę, Panonję, Dację, nawet chłodną Nadrenję, gdzie dopiero z wielkim trudem i po wielu latach udało im się wyhodować odmianę, znoszącą ten klimat.

Starożytni umieli cenić wino.

Wino i enotę, dodaje Sienkiewicz. Autor „Quo Vadis” napisał bowiem kiedyś: „Bóg stworzył wino i enotę — ludzie wymyślili piwo i honor”.

*Julj. B-ski*



# Tralenistwa Jana Wilczury

Napisał:

Ilustr.: J. Radlicz

Zygmunt Troniewski

**N**a przeciwnych drzwiach widniał wybitny bilet wizytowy — grube czcionki głosiły: Apollo Rojacki, profesor sztuki stosowanej.

Wilczura nie wiedział, co o tem sądzić. Wyciągnął machinalnie swój niepokazny bilecik, na którym umieszczył był swego czasu od niechcenia: Jan Wilczura ul. Krucza 18 i oglądał się za pluskiewką do przytwierdzenia go, bo, widać, tak wypadło w tym pensjonacie, lecz, znalazłszy jedynie kilka żywych pluskiew, zdyskwalifikował je, jako nie nadające się dla zrealizowania powziętego zamiaru, usiadł na krawędzi łóżka i pogrążył się w smętnej zadumie. Deszcz nierytmicznie zaciął w szybę. Szarość obiadła dzień.

Zakopane, wmawiał w siebie Wilczura, napróżno starając się wyłowić treść tej nazwy, — Zakopane, — powtórzył bezradnie i splunął.

Oznaczało to stan wyraźnej nierównowagi wewnętrznej.

— Drugi dzień urlopu — fiuutt! — uprzytomnił sobie, pogłębiając niechęć do świata.

Podniósł wzrok i przez niedomknięte drzwi swego pokoju ujrzał w tem miejscu, gdzie uprzednio widział fascynujący bilet równie fascynującą głowę. Profesor Apollo Rojacki mąż wyniosły, aczkolwiek niskiego wzrostu, o bujnej, przeświecającej gdzieś niegdyś łysiną, czuprynie, o pszenicznych, ościстых wąsach, stał w całej swej okazałości przed Janem Wilczurą (Krucza 18).

Wilczura machinalnie wstał.

Profesor przyjął z uznaniem ten gest uwielbienia i chrząknął, otwierając tem samem szranki rozmowie.

Wilczura posunął się krok w stronę drzwi.

Wtedy profesor ruchem torreadora wyciągnął rękę i z pod okapu złotych jego wąsów popłynęły nżane w składne okresy zdania.

— Jestem Rojacki, profesor i akademik. Nazwisko moje, oczywiście, nie jest panu obce!? Siedzę tutaj, — ciągnął tonem zwierzenia, bo tu jest spokój — warunek nieodzowny dla twórczości. Spokój jest jeszcze na szczytach — wskazał ręką sufit, ale słońce niezawsze bywa łaskawe nawet dla wybranych. Wczoraj, na przykład, byłem z grupą moich uczniów na Nosalu i nagle spadł deszcz. Wytrzymaliśmy mężnie około 44 minut — staram się dociągnąć wszystko w mojem życiu do tej liczby; niewiadomo, komu dane będzie spełnić słowa wieszczki. Otóż, wracając do Nosala, po 44 minutach dałem hasło do odwrotu i w najlepszym porządku zeszliśmy nadół. Ale studja przepadły...

— To bardzo, bardzo przykre, w istocie... plątał się oczarowany Wilczura, panowie, oczywiście, jak się domyślam, przeprowadzali badania meteorologiczne...?

— Reprezentuję sobą szkołę malar - ską, — wycedził profesor wyniosłe, nowy kierunek, który nazwę swą imieniem. Specjalność — maluję szarolki. Żegnam.

Wilczura stał zawstydzony. Lecz niespodzianie profesor przystanął i zapytał:

— Pan... bywał już w Tatrach?

— Tak... to jest, właściwie, nie... ale miałem zamiar niejednokrotnie, — usprawiedliwiał się Wilczura.

— Więc pan pierwszy raz? Zapewne nie orientuje się pan jeszcze w turniach, szczytach, żlebach, kominach, rynnach, rysach, rozpadlinach i trzaskach. Lubię wprowadzać ludzi w ten podniebny świat! — dodał patetycznie. Chce pan przyłączyć się do nas?

— Panie profesorze, ależ... zbyt wiele łaski... dziękuję... boję się przeszkodzić... nie jestem malarzem... jękał się Wilczura.

— To nic. Nigdy niewiadomo, kogo dotknie iskra boża. Zaznaczam, trudności będą duże, aleśmy potomkowie rycerzy. Więc... spotkanie jutro o zachodzie w Morskiem Oku. Proszę stać się w pełnym rynsztunku turystycznym. Tymczasem zaś — a rivederlā!

Profesor znikł. Wilczura przecierał

oczy. Na drzwiach tkwił bilet wizytowy z szlachetnie brzmiącym napisem: Apollo Rojacki, profesor sztuki stosowanej.

Wilczura dowlóknął się do pomnika Chałubińskiego i przystanął. Musiał wyglądać obłędnie w swym świeżo skompletowanym rynsztunku wysokogóskim, bo przechodnie zatrzymywali się, a góralki żegnały się pobożnie na jego widok. W istocie — zażądał był w sklepie z przyborami turystycznymi kompletu, usłużny zaś subjekt żądanie to skrupulatnie wypełnił, pakując przytem po dwie sztuki „każdej rzeczy” na wszelki wypadek. Wilczura przyjął to z wdzięcznością, protestował tylko gwałtownie przeciw dwóm czekanom i postawił na swoim, biorąc jeden.

— Którędy do Morskiego, — pytał mężnie, pomimo nieznośnego ciężaru, z trudem wstrzymując się od komentarza — mam się tam spotkać z mistrzem Rojackim.

Uprzejmi przechodnie wskazywali mu drogę z szacunkiem, graniczącym z przerażeniem. Wilczura pomijał z początku kwestję odległości, gdy jednak stwierdził, że szosa wyciąga się w nieskończenie długą linię, zapytał jakiegoś turystę:

— Przepraszam, czy nie byłby pan szanowny tak pełen uprzejmości objaśnić mnie łaskawie...?

— Dwadzieścia kilometrów, a z gadaniem trzydzieści, — odrzucił tamten, nie czekając końca.

Wilczura przyjął do wiadomości pierwszą z podanych cyfr i siły go opuściły.

— Nie dojdę — stwierdził z przerażeniem, próbując, śladami Jozuego, zatrzymać słońce w biegu.

Zniechęcony niepowodzeniem, usiadł. Wtem z poza zakrętu wyskoczyło auto. Zdeterminowany Wilczura zasygnalizował ręką i powstał tak gwałtownie, że ciężar plecaka powalił go na jezdnię.

Z poza kierownicy wynurzyła się postać sportowca (wiek nieokreślony).



Prof. Apollo Rojacki



Ręce w rękawiczkach chwyciły Wilczurę za łokcie, pomagając wsłać.

— Nic mi nie jest — oprzytomniał Wilczura.

— Zawsze pomagam turystom, — oświadczył gentleman, pan w stronę Morskiego?

— Tak jest, istotnie.

— Więc proszę uprzejmie, — wskazywał wnętrze limuzyny, a może pan zechce objaśnić memu towarzyszo wi — Wilczura spostrzegł blade go młodzienca, jakie to szczyty widać, bo sam nie jestem zawodowym wspinaczem.

— Szczyty? — biedził się Wilczura, sam spostrzegłszy dopiero teraz kontury gór nad lasem, nigdy tam nie byłem.

— Ach tak, oczywiście, dla pana to mięta. Pan odwiedza zapewne tylko najdziksze turnie?

— Przeważnie, — odparł Wilczura, nabierając nagle kontenansu; Nosal jest jednym ze szczytów, na który wspinam się bez wysiłku — przypomniał sobie rozmowę z profesorem.

— Więc niechże mam zaszczyt przewieźć znakomitego laternika, — uśmiechnął się nieznamy, zasiadając przy kierownicy.

Wilczura z lubością poddawał się wykwintnemu kołysaniu. Teraz zdąży napewno.

Wtem zgrzytnęły hamulce. Patrzy! Ręce w rękawiczkach obracają gwał-

townie kierownicę. W oknie dwa spienione pyski końskie! Zgiełk! Trrach! Poderwane auto zatacza się, staje. Konie biją kopytami szosę. Gentleman wyskoczył, macha rękami. Górale krzyczą. Atakują. Pęka świetne sportowe ubranie. Błady młodzian przypadł do ramienia Wilczury:

— Niech pan go ratuje!

Biedny Jan Wilczura! Jeśli bił się kiedykolwiek, to z własnymi myślami. Poci się w rozterce. Bić górali... co powie Telmajer? Bić sportowca — co powie wrodzona lojalność! Nagle — myśl salomonowa. Wilczura będzie rozjemcą. Ma dar godzenia ludzi. Tylko — trochę rubaszości. Klepnąć górala po ramieniu! Przemówić do rozsądku!

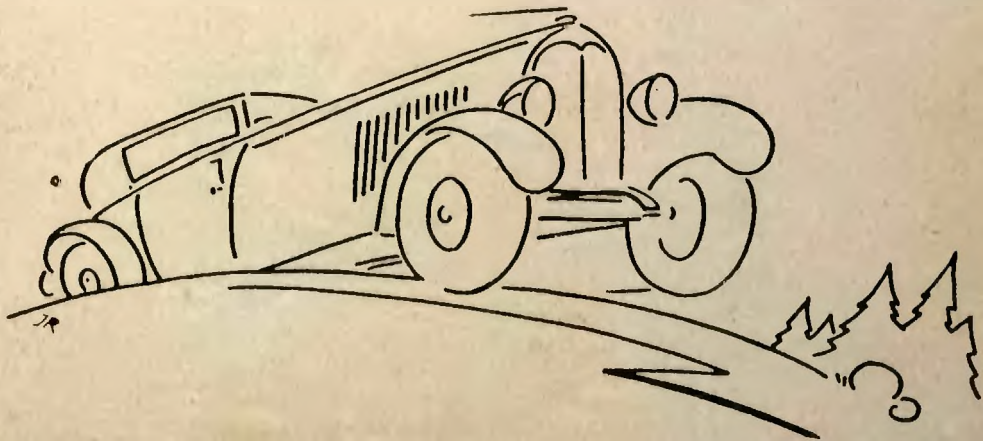
Podbiega zboku i kładzie rękę na plecach zaciętrzewionego gazdy. I nagle, nagle, trzaśnięty mocarną pięścią, odlatuje do rowu.

— Psiawiara! Skiela to se wzion? Zdechlak!

Zostawiają półnagiego sportowca i walą się na niego. Czuje ich żylaste ręce, bezapelacyjnie wyszukujące żeber pod znakomitym rynszlunkiem. Zapach górzala bucha.

— Zginał w walce ze zbójnikami — widzi Wilczura własny nekrolog.

Aż odpadli. Auto drżało. Gentleman startował. Rzucili się ku niemu. Wilczura skoczył do drzwiczek (dziwnie lekki był teraz plecak) i, zanim



*Na zakręcie wyskoczyła maszyna...*

zdążył się usadowić, rwali już pod górę, mając za sobą wrzeszczącą grupę. Sami uwozili pogięte błotniki, oraz próbki pierwszorzędnego materiału ze sportowego ubrania.

— Pozwoli pan, że zanotuję sobie pańskie nazwisko i adres, — powiedział gentleman, gdy się zegnali przy Morskiem Oku, kto wie, co nas czeka?

Perspektywa sali sądowej stanęła przed Wilczurą i instynkt samozachowawczy podszeptał mu wyjście:

— Apollo Rojacki, willa „Piarzysta” — wyrzekł drżącym głosem.

Uścisnęli sobie dłonie.

Nazwa „Morskie Oko” nasuwa pewne wątpliwości. Można uznać przymiotnik „Morskie” za dość udalny ze względu na niebywałą ilość pudełek od sardynek, zdobiących brzegi jeziora, oraz ze względu na to, że woda w okolicach schroniska jest nieco słona. Zato upodobnienie jeziora do oka rozmija się z logiką, bo jeśli wzięto pod uwagę okrągły jego kształt, to właściwsze byłyby nazwy: „Morski talerz”, „Morskie koło” albo wreszcie „Morska łysina” gdyby już koniecznie chodziło o czerpanie porównań z anatomii.

Nie zastanawiając się nad temi rzeczami krążył Jan Wilczura nad wodą w poszukiwaniu profesora. Pierwsze jego przejście wzbudziło entuzjazm

zgromadzonych gapiów, lecz gdy zaczął chodzić tam i sam, zamiast drapać się wprost na prostopadłą ścianę, czego oczekiwali przybyli wprost ze stolicy goście, złośliwe uwagi poszły z ust do ust, a ktoś nawet rzekł z powagą:

— Jeśli pan szuka Mnicha, to łatwiej go znaleźć na tamtym brzegu.

— Szukam profesora Rojackiego, — odpowiedział tym samym tonem Wilczura, odczuwszy pogardę dla tłumy. Słońce właśnie barwiło szczyty jaskrawymi kolorami, zostawiając doliny w cieniu, a serce Wilczury w niepokoju.

— Napewno źle trafiłem, — pomyślał, to chyba nie Morskie Oko.

I zapytał spotkanego turysty w sposób dyplomatyczny, by nie zdradzić swej nieświadomości:

— Czy tu w pobliżu jest jeszcze jakieś inne jezioro?

— A jest! Ta ścieżka do potoku, potem w górę, za czerwonymi znakami...

— Dziękuję z serca, — odparł zawsze uprzejmy Wilczura i ruszył.

Jacyś dwaj spóźnieni turyści znaleźli go o gęstym zmierzchu nad Czarnym Stawem, uwikłanego w kosówkę i sporządzającego rachunek sumienia.

Nie zdążył jednak dokończyć tej czynności, bo sprowadzono go do schroniska.

— Już nigdy — przyrzekał sobie, siedząc w autobusie, mknącym do Zakopanego.

— Aa, profesor! — wyrwał się okrzyk z ust Wilczury, zdążającego do Orbisu.

— Witam pana, witam, — mówił profesor, nie zatrzymując się, co zmusiło Wilczurę do podążania za nim, — cóż? zdradził pan nas? Ale! Ma pan niezły rynsztunek.



W drodze do Morskiego...



Wilczura zaczął się gorąco usprawiedliwiać.

— Obszedłem całe Morskie Oko dokola, przysięgam!

— Siedzieliśmy tuż koło jazz-bandu, — rzekł chłodno profesor.

Wilczura osłupiał. Więc to „Morskie Oko” w Zakopanem — ów popularny dancing — miał na myśli profesor.

— Szukałem państwa nad jeziorem, — wyjąkał zmaltretowany.

— Któż popełnia takie głupstwa! Zresztą, Morskie — to żaden punkt wyjścia. Na Rysy? Zbyt popularne. Przetęcz pod Chłopkiem? Jesteśmy, chwała Bogu, arystokracją duchową. Mnich jest za niski na to, by ryzykować dlań zdrowiem, a Żabi koń nie przedstawia już problemu. Upierzdzono nas — dodał z miną poszkodowanego przez los.

Wilczura nawet nie zauważył, to wiąc chciwem uchem bezcenne uwagi tatarnistyczne profesora i notując je skrzętnie w pamięci dla wzmocnienia swojej reputacji latrzańskiej po powrocie na niziny, gdy znaleźli się przed pensjonatem. Z mroku drzew wynurzyła się biała postać.

— Ach! Charmante! — wykrzyknął profesor z gestem zaborczym, który wnet zaokrąglił, dodając tonem salonnawca: — pan Wilczura, nasz niedoszły towarzysz, choć doszedł do Morskiego Oka. Panna Szarotka N. — ozdoba wycieczki, której przewodniczę...

— No, profesorze, proszę bez komplementów, — odrzekła rezolutnie Szarotka, i oświadcza zgóry, że jeśli barometr wciąż spada, to ruszamy jutro w góry bez profesora. Już ja to urządzę. A pan z nami, oczywiście? — zwróciła się do Wilczury z uśmiechem uroczego dziecka.

Wilczura stopniał, poczem wyszeptał nieme podziękowanie. Zaproszono go na kolację. Do Orbisu, oczywiście, już nie poszedł.

Weszli do sali jadalnej. Kilkanaście postaci na widok profesora stanęło na baczność.



*Wilczura dostał w nos...*

— To moi uczniowie. Tych trzymam ostro, — szepnął profesor do Wilczury. Szarotka — dodał, jest naszym „enfant terrible”.

Poczem, siadając na miejscu prezydjalnym, obwieścił.

— Jutro, skoro świt, wychodzimy w góry. Trasę naszego pochodu wytknąłem przez Halę Gąsienicową, Krzyżne, Rozłokę. Proszę zwrócić uwagę na obuwie, apteczki podręczne i porcje żelazne! Kto się nie czuje na siłach — może zostać.

Przy stole zawrzało...

Skośne promienie wstającego słońca lśniły w menażkach i kubkach.

Profesor, zaferowany, udzielał ostatnich instrukcji:

— Pan Wilczura będzie szedł pierwszy, ponieważ ma za sobą Czarny Staw. W miejscach trudnych zastąpię go. Zwykle idę ostatni, bacząc na całość. Pani przy mnie, dodał ciszej do panny Szarotki, według umowy, proszę — nalegał, gdy protestowała.

Lecz wymarsz został opóźniony, bowiem profesor przypomniał sobie, że



*Panna Szarotka i profesor rzucali nitki...*

nie zawiadomił jeszcze Pogotowia Tatrzańskiego o kierunku marszu.

Gdy pojechał to załatwić, panna Szarotka podeszła do Wilczury.

— Pan zrobił Czarny Staw, — zapytała, wyrażając się, jak wytrawny wspinacz.

— Tak, niechący... — rumienił się Wilczura.

— Mój Boże, to dla pana taka bagatela, — dziwiła się nabożnie. A dla mnie — to jeszcze marzenie. Bo widzi pan, profesor...

I zaczęła utyskiwać na profesora. Profesor taki, profesor owaki. Wilczura najpierw zlekka protestował, po chwili jednak ostrożnie potakiwał, a w gruncie rzeczy odczuwał pewne zadowolenie. Powrót profesora przeciął te wynurzenia. Ruszyli w szyku, rzucając, po zniknięciu Kuźnic, co dziesięć kroków czerwoną nitkę na wypadek konieczności powrotu we mgłę.

— Te nitki mogą uratować nas od śmierci — oświadczył profesor. — To mój pomysł.

Wilczura, chcąc mu dorównać w pomysłowości, zaproponował zostawianie co tysiąc kroków — zapasu żywności. Projekt ten jednak nie doczekał się realizacji, bo nikt nie chciał liczyć kroków, pomimo przekonywań projektodawcy, iż kapitan Scott postępował tak podczas wyprawy do bieguna.

Na postoju Wilczura chciał zbliżyć się do panny Szarotki, ale profesor ofuknął go:

— W marszu nie należy mieszać szyków. Niepotrzebne chodzenie tam i napowrót absorbuje nasze siły.

Wilczura wrócił posłusznie na czoło, ale, gdy ruszyli, wyjął lusterko i chwycił w niem odbicie końca pochodni, zauważając, że profesor ułatwia własnoręcznie Szarotce przewyciężanie nawet minimalnych trudności.

Reszta wycieczki przypominała stado owiec. Zresztą było jej z tem do twarzy.

— Stop! — krzyknął profesor, gdy weszli na Przełęcz Między Kopami, tu usypiemy kopezyk z kamieni!



— Exegi monument, — zadekłamała panna Szarotka.

— Czy nikt tu nie był przed nami? — zapytał Wilczura, lecz, spostrzegłszy ślady kół, zamilkł.

— To dla Pogotowia Tatrzańskie-go, — objaśnił kwaśno profesor.

Po popasie na Hali i wpisaniu w księgę wielkimi literami: *Profesor Rojacki discipulique ejus na Krzyżne A. D. 1930*, brnięło dalej pod omszałymi smrekami i przez zielone morze Kosówki.

Nagle krzyki — hallo! hallo! stójcie!

Za zakrętem ukazało się kilku policjantów na małych górskich konikach.

— Czy tu jest profesor Rojacki?

Profesor zbladł. Pytanie zamarło na jego ustach.

— No, Bogu dzięki, że dogoniliśmy pana, — cieszył się przedownik. Jest pan wezwany do Nowego Targu jako główny świadek w sprawie gazdy Jontka Walisana przeciw dr. Kakaduczkowi o nieostrożną jazdę. Musimy się śpieszyć, sprawa zaczyna się za trzy godziny!

— To pomyłka. To kapitalna pomyłka, — krzyczał profesor, nigdy nie widziałem pana Kakaduczka!

— Proszę dokument. Apollo Rojacki, profesor, sprawdzał przodownik.



Ukazała się policja konna...

Ten sam. No... jak pan nie chcesz po dobrej woli...?? nacierał koniem.

— Zaraz, zaraz, wrócimy wszyscy razem, — bronił się profesor.

— Nie można. Tu jest koń dla pana. Siadaj pan!

— Do licha, — jęczał profesor, diabli mnie skusili zostawiać ślady po sobie.

— Siadaj pan bez gadania, — krzyczał przodownik, podsadzając profesora, który pakował w strzemie niewłaściwą nogę, zdziwiony uporczywością, z jaką podstawia mu się malowniczo skądinąd ogon.

— Wracajcie na — tych — miast! Za czerwonymi nitkami! — ryknął i, chwiejąc się na koniu, jak trzcina, znikł z oczu.

Wycieczka wracała w popłochu. Jedyne panna Szarotka szła dalej, a Wilczura posuwał się za nią, jak zahipnotyzowany.

Chmury zniżały się powoli, zakrywając wspaniałą scenerję gór.

— Kurtyna zapada, — myślał Wilczura, nastrojony teatralnie.

Deszcz zaczął padać wielkimi kroplami. Byli wśród głazów, zwanych maliniakami w narzeczu tatarnickim, a Wilczura myślał o tem, że usta jego towarzyszek są właśnie, jak maliny. Szarotka rozglądała się niespokojnie, aż wskazała ręką czarny otwór, nieco w górze od ścieżki.

— Koliba! Schowajmy się tam!

— Tam mogą być węże, — występał trwożnie Wilczura, ale tak cicho, że Szarotka nie usłyszała tego poprzez szum deszczu.

Podeszli do koliby i owładnęli nią bez trudu, nie zastawszy tam nikogo. Była sucha.

— To przynajmniej przygoda, — cieszyła się Szarotka, słyszałam o życiu w kolibach. Trzeba ułożyć podłogę, naciąć kosówki, a potem można spać.

Wilczura przykucnął pod głazem, oszołomiony niesamowitością chwili i milczał.

— No! Czemu pan nie układa podłogi?

Człowiek, dla którego słowo kobiety było zawsze rozkazem, rzucił się do roboty.

— Układam sobie łożo rozkoszy, — szeptała lekliwie nadzieja.

Pracował, jak Waligóra, wyszarpywał wrośnięte w teren głazy z dziką pasją. On — Jan Wilczura — któremu życie nigdy nie dało sposobności

Zawinęła się szczelnie, wsunęła plecak pod głowę i leżała, oddychając rytmicznie.

Wilczura postanowił być subtelny. Ociągał się z urządzeniem postania, to przysuwając, to znów odsuwając swój koc. Odległość dłoni wydała mu się nieuzasadnienie bliska, więc odsunął się ku ścianie, lecz tam zaciekało.

— Niech pan położy się bliżej, — rzekła sennie Szarotka.



*Trzeba być aktywnym...*

do intymniejszych przeżyć — w takiej sytuacji! Triumfowali!

— Brawo! — chwaliła Szarotka, teraz dostanie pan nagrodę, — rzekła słodko.

I, gdy oczekiwał z bijącym sercem, a kolana zaczęły się pod nim uginać, wyjęła z plecaka rzetelną kromkę chleba z masłem i serem.

— Świetny, — zapewniała, częstując go.

Wilczura przeknął zawód i przekąsił chlebem. Szarotka zaczęła wyciągać koc i swetry.

— Teraz położymy się, bo niema co robić.

Zadrżał. Wypełnił skrupulatnie polecenie. Leżał nieruchomy i wyczekujący.

Woda tymczasem zalewała świat. Wilczurę ogarniał błogostan. Rozsmakowywał się w chwili, która była przedśmionkiem — nieznaney mu świątyni upojeń, gdyby mógł, żłobilby w mózgu swe impresje scyzorykiem, lub kawałkiem kamienia, by je uwiecznić... On, romantyczny z natury, a z dziwną zajądlnością izolowany przez życie od wszelkiego kontaktu z niewiastami, doczekał się oto momentu, który wynagrodzi mu wszystkie nieziszczone dotychczas tęsknoty.



Tuż obok — myślał — leży ona i marzy podobnie. O czym może marzyć, jak nie o pieściznach, co spłynę z jego ust i rąk.

— Trzeba być aktywnym, — postanowił i zaczął oddychać w przyspieszonym tempie, namiętnie i sugestywnie.

Obok wciąż słyszeć było rytmiczny oddech Szarotki.

— Śpi, — stwierdził rozczerwony, co tu robić? Przecież tak cała noc może minąć i nic...

Wymacał ręką małe kamyczki i zaczął rzucać nimi o ścianę, chcąc w delikatny sposób zbudzić śpiącą, lecz dostał rikoszelem w nos, co stanowiło poważną przestrożę, by zaprzestać tego sposobu.

Niepokój go ogarniał coraz większy. Każda upływająca minuta była sygnałem alarmowym: „Noc szybko mija”... Wreszcie w panicznym strachu, by nie zmarnować wszystkiego, wyciągnął zaborną rękę i nagle poczuł, że jest mokra od potu. Cały był w siódmych potach.

— To nie tak łatwo, — stwierdził, — i czego ja się właściwie boję?

Postanowił ochłoniąć trochę i na zimno rozpocząć grę. Irylowała go niewrażliwość tej kobiety.

Myśli rozpraszały się i oczy powoli zaczęły się kleić.

Zasnął.

Śniło mu się, że całuje Szarotkę i ma ją w ramionach.

Obudziło go wulgarnie słońce. Szarotka wciąż spała, zaróżowiona i śliczna.

Wilczura targnął się z rozżalenia za własną czuprynę. Stało się najgorsze — noc minęła. W dzień nie odważy się za nic na takie szaleństwo. W przystępie rozpacz pochylił się nad śpiącą, hypnotyzowany wykresem czerwonych ust. Wahał się jeszcze chwilę, zbliżając wciąż swe usta. Gdy nagle na twarz Szarotki wpłynął obcy cień i znieruchomiał.

Wilczura podniósł głowę.

U wejścia do koliby stał człowiek o bujnej, aczkolwiek przerzedzonej łysiną czuprynie i ościstych pszenicznych wąsach. Był to profesor Apollo Rojacki.

Nazajutrz w dzienniku miejscowym pojawiła się wzmianka:

„Ekspedycja ratunkowa znalazła zaginioną parę nad ranem w gnieździe skalnym, jak przytuleni do siebie grzali się ciepłem własnych ciał.

Ratunek swój zawdzięczają znanemu latarnikowi, malarzowi Apollo Rojackiemu, który, odłączywszy się na chwilę od ekspedycji, przypadkiem natrafił na fatalne miejsce. Profesor, widocznie ze wzruszenia, zaniemógł na serce i musiano odstawić go do Zakopanego. Na szczęście, stan znakomitego latarnika nie budzi poważniejszych obaw i po krótkim wypoczynku będzie on mógł znowu wkroczyć w umiłowane swe góry”.



Dokąd wpłacać na Flotę Wojenną:

Jedyné konto oficjalne kierownictwa Marynarki Wojennej P. K. O. 30680

# Apteczka domowa część I.





# Dusza miast polskich

W numerach 78, 79 i 80 „Naokoło Świata” opisywaliśmy „Wpływ znaków zodiaku na życie ludzkie” i podawaliśmy szczegółową charakterystykę każdego ze znaków. W numerze zaś 86 w artykule p. t. „Co mówią gwiazdy o naszym kraju”, podany został opis drobiazgowy znaku Byka, do którego astrologowie odnoszą od czasów niepamiętnych naszą ojczyznę.

Chociaż z punktu widzenia astrologii całość Polski niewątpliwie podpada pod działanie drugiego znaku zodiaku — na co przytoczyliśmy dość dużo przykładów — to jednak poszczególne prowincje i miasta wykazują daleko silniejszy wpływ innych znaków zodiaku.

Ten sam uczony astrolog arabski, który w swym traktacie, napisanym przed r. 1030, stwierdzał działanie znaku Byka w Polsce — dodał, że jednak „miasto Krokaw wraz z okolicą” podlega wpływowi znaku Barana.

Jest to definicja zupełnie słuszną. Baran, pierwszy znak zodiaku, wyraźnie przejawia swój wpływ na mieszkańców dawnej Galicji, obdarzając ich wielką aktywnością, przedsiębiorczością, intelektualizmem, chęcią stania na czele, kierowania innymi i dając



Znak Bliźniąt — astrologiczny odpowiednik Łodzi

KASINO POWSZECHNE  
KRAKÓW, RYNK GŁ. 13.



Miasta polskie i znaki zodiaku

im wielkie polityczne ambicje. Dążenie do wyniesienia — to najcharakterystyczniejsza cecha ludzi, pozostających pod wpływem pierwszego znaku zodiaku.

Przez długi czas w naszej historii Kraków odgrywał rolę naczelną — był pionierem i przywódcą całej polityki — odpowiednio do znaczenia znaku Barana. Te ambicje do dziś dnia pokutują w prasie krakowskiej. A wszakże w samym Krakowie pierwsze skrzypce odgrywa pałac „Pod baranami”...

Tenże sam uczony arabski, Ali ben Abi'l Rigal Abu'l Hasan, w swym astrologicznym traktacie twierdzi dalej, że miasto Poznań rządzone jest przez znak Byka, a późniejsze dzieła astrologiczne potwierdzają tę definicję.

W bibliotece autora znajduje się książka uczonego hrabiego Henryka von Rantzau, namiestnika Szlezwig-Holsztynu. Magnat ten był pasjonowanym astrologiem, a w dziele swym „Tractatus astrologicus de genethliacorum”, wydanem w r. 1625, pisze:

„Taurus habet ex regionibus Poloniam maiorem, ex urbibus — Posnam et Gnesnam”.

Czy istotnie miasto Poznań podpada tak silnie pod wpływ znaku Byka? Doświadczenie zdaje się całkowicie potwierdzać to określenie. Jak już mówiliśmy — znak Byka rządzi całością Polski, a stwierdzonem jest ponad wszelką wątpliwość, że miasto Poznań jest najbardziej polskie ze wszystkich miast naszych i posiada największy procent czysto polskiej ludności.



*Znak Raka jest odpowiednikiem Gdyni*

Poza tem — cała psychologia poznaczyków — ich pracowitość, wytrwałość, demokracizm, wysokie pojęcie o sobie — wskazuje na typowe cechy znaku Byka. Biada temu, kto go jednak podrażni! Wszak wszyscy czytaliśmy w prasie o trudno zrozumiałych wybuchach oburzenia i gniewu najszerszych mas mieszkańców Poznania, co łatwo się uzewnętrznia.

Trzeci znak zodiaku — intelektualny, ruchliwy, zmienny znak Bliźniąt, rządzonego przez Merkurego — swój odpowiednik w Polsce znajduje w mieście Łodzi. Nie napróżno porównywały Łódź z miastami Anglii, rządzonej przez Merkurego! Niezwykła ruchliwość handlowa, jaka daje się odczuwać w tem mieście, gdzie wszyscy robią nieustannie najróżnorodniejsze interesy — jest bardzo typowa dla znaku Bliźniąt.

Trzeba dodać, że doświadczenie najzupełniej potwierdza tę definicję. Wszakże Łódź pierwsza w Polsce zaprowadziła u siebie przymusowe nauczanie powszechne — co jest niezwykle typowe dla miasta, rządzonego przez Merkurego — patrona nie tylko handlu, lecz również i oświaty. Żaden magistrat w Polsce nie wydaje tyle na oświatę, co magistrat łódzki. Poza tem — najlepszym dowodem tego, iż trzeci znak zodiaku rządzi Łodzią — są przejścia Marsa. Ilekroć bowiem ten przedstawiciel wojny

i niepokoju przechodzi przez znak Bliźniąt — w Łodzi natychmiast wybuchają gwałtowne strajki; olbrzymie masy szarych tłumów zalewają ulice, a w klubach towarzyskich wybuchają skandale, pojedynki i t. p. Gdy zaś Mars zatrzymuje się dłużej w tym znaku — wówczas mają miejsce takie smutne zajścia, jak zamordowanie prezydenta, któregoś z fabrykantów etc.

Czwarty znak zodiaku — Rak — patron oceanów — ma swego godnego reprezentanta w Gdyni. Potężny rozwój tego miasta zawdzięczać należy dobroczynnym wpływom Jowisza oraz temu, że znak Raka jest jednym ze znaków kardynalnych, których wpływ odgrywa rolę naczelną.

Królewski znak Lwa ma swego przedstawiciela w Polsce w malowniczym mieście Lublinie, którego mieszkańcy lubują się w gestach wspaniałych.

Już najstarsze podręczniki astrologiczne mówią o tem, że Śląsk rządzone jest przez szósty znak zodiaku — krytyczny, intelektualny, demokratyczny znak Panny — symbol pracy i wysiłków. To też Katowice niewątpliwie są typowym przedstawicielem tego znaku, a nastrój, jaki tam panuje, pokrewny jest nieco niespokojnemu nastrojowi Łodzi — znak Panny bowiem również jest rządzonej przez Merkurego, przedstawiciela handlu, przemysłu i oświaty. Można przypuszczać, że Katowice staną się czasem również wielkim centrum oświatowym dla całej dzielnicy śląskiej.

Typowym przedstawicielem spokojnego, artystycznego, intuicyjnego znaku Wagi jest cichy i piękny Płock, tak niezwykle malowniczo położony, odznaczający się swemi pięknymi kobietami i muzeami.

Ósmy znak zodiaku — potężny Skorpion, znak wody i Marsa — ma swój odpowiednik w Polsce w Toruniu. Na wszystkich domach gotyckich tego miasta, zarówno jak i na ratuszu — widzimy wysokie wąskie łuki — symbol Skorpiona, wyobrażony na rycinie obok załączonej. Skorpion, wedle ogólnie przyjętego mniemania, w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa zabija sam siebie. W średniowieczu potężny zamek krzyżacki — zburzyli sami mieszkańcy Torunia, a obecnie — sami rozebraliśmy fortecę toruńską.

Piękny Lwów ma swój odpowiednik zodiakalny w znaku dziewiątym — bohater-



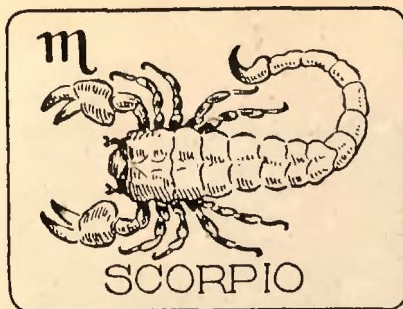
skim, niepodległym, ognistym znaku Strzelca, który rządzi sportem, intuicją i wolnością indywidualną.

Warszawa zajmuje miejsce całkiem specjalne. Najstarsze teksty astrologiczne odnoszą ją do znaku Koziorożca — złośliwego, materialistycznego znaku wielkiego Saturna. Wedle astrologii — Saturn to wielki twórca-realizator, a jego wpływy wiążące, ściągające, krystalizujące — zamieniają się stopniowo w wielką potęgę. A więc rola Warszawy jako stolicy nie jest przypadkiem; ale złośliwość warszawiaków i ich „kawały”, powtarzane później w całym kraju — typowe są dla znaku Koziorożca. Jest to również znak depresji i ponurości — stąd w prasie zwana jest Warszawa „miastem ponurych twarzy”...

Nie ulega wątpliwości, że we wszystkich innych miastach Polski daje się odczuwać więcej optymizmu, niż w stolicy. Zwłaszcza w ostatnich dwóch latach, kiedy potężny Saturn, zwany „stróżem progu wieczności”, przechodzi przez znak Koziorożca i wywiera na mieszkańców stolicy swój groźny, oczyszczający przez cierpienie wpływ — potęguje się pesymizm warszawiaków, a magistrat ma jednocześnie wielkie kłopoty finansowe.

Warto tu może dodać, że i herb Warszawy — Syrena — dziwnie przypomina wyobrażenie znaku Koziorożca...

Tak piękne i mile Wilno podpada pod wpływ jedenastego znaku zodiaku — Wodnika — znaku, należącego do „elementu powietrza”, t. j. humanitaryzmu, kultury naukowej i zainteresowań ogólnoludzkich. Daje się tu również odczuwać potężny wpływ Sa-



*Skorpion — odpowiednik zodiakalny Torunia. Z lewej strony u góry symbol astrologiczny tego znaku*

turna — ale jakże uszlachetniony, niematerialny, dumny i duchowiony.

Dwunasty znak zodiaku i ostatni — Ryby — romantyczny i uczuciowy znak „zajścia dla świata”, t. j. miejsc, w których jednostka zostaje izolowana od społeczeństwa, a więc znak sanatoriów, szpitali, więzień — wpływy swe manifestuje w malowniczym i romantycznym Grodnie.

Tam właśnie miał miejsce ostatni sejm Rzeczypospolitej, który był ślubem śpiewem naszej niepodległości; obecnie — w sali sejmowej jest urządzony szpital.

Jak wiemy, miast w Polsce jest znacznie więcej, aniżeli znaków zodiaku — to też na każdy ze znaków przypadnie po kilkanaście miast, o ile chcielibyśmy wyczerpać słownik geograficzny. Trzeba zaznaczyć jednakże, że ustalanie ascendentu danego miasta, t. j. określenie, jakie wpływy zodiakalne tam się najsilniej przejawiają — jest dość trudne i nie da się tak łatwo skutecznie. Trzeba bowiem przez dłuższy czas zbierać potwierdzenia hipotezy przy pomocy faktów.

Pewnem jest tylko jedno — że każde z miast polskich ma swój specjalny nastrój, swą duszę, którą odczuwają przyjezdni, chociaż nie zdają sobie z tego sprawy. Tylko jednostki bardzo wysubtelnione i kulturalnie wysoko stojące mogą określić, czym różni się nastrój danego miasta od innych miast. Że jest on całkiem odrębny — to jednak nie ulega wątpliwości.

Również i każdy ze znaków zodiaku w nich nie jest podobny do następnego — każdy ma inną treść psychiczną, a jego właściwa istota jest w rzeczywistości nadzmy-



*Symboliczne wyobrażenie znaku Koziorożca. Drzeworyt z r. 1627*

słowa i tylko z wielkim trudem daje się ująć przy pomocy słów.

Podobnie jak powstają w przyrodzie różnorodne połączenia chemiczne — tak wpływy znaków zodiaku łączą się w naszej trójwymiarowej rzeczywistości w najróżnorodniejsze związki. Możemy stwierdzać, że w danym wypadku przeważa znak taki a taki — ale inne znaki również dołączają swe wpływy w rozmaitych proporcjach. Stąd też miasta, które ryczałtem odnosimy do jakiegoś znaku zodiaku — mogą mieć bar-

dzo odmienne, chociaż naogół zbliżone do siebie „dusze zbiorowe”.

Ponieważ ziemia nieustannie się obraca wewnątrz koła ekliptyki, i nad każdym miejscem na ziemi przesuwają się kolejno znaki zodiaku — koło zodiakalne życia kosmicznego ma dla nas wielkie znaczenie, a wpływy jego dają się stwierdzać wszędzie dość wyraźnie.

*Jan Starza Dzierzbicki,*  
prezes Polskiego Towarzystwa  
Astrologicznego.



*Saturn i Mars karta tytułowa (1533 r.)  
z kalendarza astrologicznego Brotheyhela*





Fot. Dr. A. Wieczorek ~ Zakopane.

Nad przepaściami



*Press-Photo*

Z politowaniem na was patrzę





*Fot. Pacific-Atlantic.*

Niezwykłe przymierze



*Fot. Dorys — Warszawa.*

Mały urwis

WKŁĘSŁODRUK „ROTOFOT” WARSZAWA



# Dział grafologa

Do bezpłatnego korzystania z działu grafologii upoważnione są osoby nadsyłające przy rękopisie wycinek z *pierwszej strony niniejszego zeszytu i każdego z następnych* (I strona ogłoszeń), a *mianowicie prawy dolny jej róg*. Szczegółowe przepisy dla nadsyłającego swe pismo do oceny dla grafologa znajdują się w Nr. 83 na str. 131—132.

## ODPOWIEDZI:

„S. P. L. O. T. Y.” — bardzo żałuję, ale list pana za późno doszedł moich rąk, aby uzasadniona prośba mogła być uwzględniona. List pana zmusza mnie znów do wynurzeń, że jak z jednej strony nad wyraz mnie cieszy traktowanie grafologii jako doradcy, tak z drugiej, z przykrością oświadczam, że w naszych warunkach sprostać zadaniu temu szczegółowo nieposób. W każdym zawodzie i na każdym stanowisku, potrzeba rozumu i serca. Oprócz tego, każdy zawód i każde stanowisko wymaga specjalnych przygotowań pod względem umysłowym. Nauka poczyniła takie zawrotne postępy, tak się rozczłonkowała i stanęła wysoko, że dzisiaj t. zw. uniwersalnych ludzi niema. W miarę sił, postaram się przyjść panu z pomocą w trudnym wyborze zawodu. Sam fakt zastanawiania się nad wyborem wskazuje na poważne traktowanie obowiązków. Otóż analizując wolę, jako podstawę wartości człowieka, mogę stwierdzić, że ona jest u pana spokojna, stała, zdecydowana, aczkolwiek bez specjalnie silnej odporności w trudnych sytuacjach. Zamierzenia równają się siłom, gdyż gruntowna rozważa kępuje inicjatywę i polot. Barometr psychiczny czuły i chętnie płynący ku wyżom, lecz trwałość kierunku jest stosunkowo nieznaczna, a opadanie przybiera czasem gwałtowne tempo. Badając w dalszym ciągu moralne wartości, obserwowuję, że przy b. dobrym sercu jest pan kosztowny, mało mówny, drobiazgowy i mało kontent. Skrytość pana, właściwa wiekowi, powinna zczasem przejść. Umie podlegać, od siebie wymaga równie tyle co od drugich, nad namiętnościami panuje. Zdanie swoje ceni, ale nikomu nie narzuca, ale niepotrzebnie interesuje się cudzemi sprawami. Żadne wydarzenie nie wytrąci go do tyła z równowagi, aby zapomniał o godności osobistej. Potrącając o intelekt, zaznaczam, że przy lekkim zabarwieniu wykazuje skłonność do ścisłej analizy, a zatem odpowiada mu kierunek obrany. Przy większym wyrobieniu, będzie mógł produkować się wielostronnie i — bez większej niezależności —

pozytywnie. Można być z pana zadowolonym, pragnę jeszcze widzieć pana więcej altruistycznie (w stosunku do bliźnich) i więcej bojowo (w stosunku do życia) usposobionym. Prawość daje panu rękomię szczęścia. Proszę mi coś napisać o sobie, tj. o wyborze kierunku kształcenia.

„Jotzel” — moje pragnienie dostarczenia panu przyjemności, jako choremu odosobnionemu w szpitalu — przez załatwienie rękopisu pana poza kolejką — zostało unicestwione przez większą niedyspozycję. Jest pan „zrobiony” do połowy. W następnym numerze „Naokoło Świata” przeczyta pan „o sobie”. Tymczasem bądźmy zdrowi.

„Z. P.” — proszę o łaskawe nadesłanie mi adresu na poste-restante, gdyż chcę to załatwić w drodze prywatnej. Zaznaczam tylko, że nie zaraz. Czasu mam bardzo mało.

„Hrabianka” — to uosobienie zmysłów, imperatywizmu, autokratyzmu i towarzyskości zarazem, prowadzenia walki (albo gry) na wszystkich frontach i kobiecej zazdrości. Odpowiedzi nie otrzyma, gdyż nie była łaskawa podpisać autografu swoim nazwiskiem.

„Szczęśliwy” — nie wie, jak szalenie mnie cieszą te masy listów pełnych zaufania i serdeczności. Nieraz taki list pisany do „grafologa” krzepi mnie w najgorszych opresjach duchowych. To też pragnę dać moim Szanownym Czytelnikom wszystko, na co mnie stać z umysłu i z serca. Jeśli mi wypadnie kogoś surowo osądzić, czynię to w przekonaniu, że przyjacielowi nie wolno być obłudnym. Każdy kładzie duszę w swoją pracę, lecz w szczególności czyni to grafolog, pracując na gruncie jaźni ludzkiej. — Pan jest „brzydki”, bo i pedant, no i przy całym sentymentalizmie ma jednak siebie bardzo na oku. Odpowiedź jeszcze nie zaraz.

\*

P.-S. Szczupłość pracy w tym numerze jest spowodowana złym stanem zdrowia. Do następnego n-ru opracuję więcej odpowiedzi.

(Dalszy ciąg na str. 107—108)



# Mikrofon i jego tajemnice

## 1. Aktualność mikrofonu.

Można bez przesady powiedzieć, że mikrofon stał się jednym z najbardziej aktualnych zagadnień naszej doby. Nietylko radjofonia chciałaby zapanować nad mikrofonem niepodzielnie, ale i — film dźwiękowy. Na tym odcinku łączą się te niewątpliwie w istocie swej odrębne dziedziny. Mikrofon interesuje tak reżysera radjowego, jak i filmowego. Zresztą nietylko reżysera.

Jest przecież cały legjon ludzi, których

mikrofon przykuwa, których fantazja żyje tylko tym tematem; wdrzeć się w zaufki jego państwa, zdobyć jego sekrety — to tęsknota falangi młodych, zapalonych głów.

*Scena z instytutu radjo-filmowego. Pierwsze kroki przyszłych gwiazd. Na kolanach przed mikrofonem*





A nie jest to tak proste. Każdy inny dział sztuki ma już swoją mniej lub więcej dobrą tradycję, metody zazwyczaj wypróbowane i wiecznie kontrolowane. A państwo mikrofonu zadziwia i drażni swoją dotychczas jeszcze niezupełnie zbadaną naturą.

## 2. Odrębność atmosferyczna.

Odrębność atmosfery mikrofonowej decyduje o konieczności szkolenia w tym kierunku przyszłych gwiazd filmowych i przyszłych aktorów, czy też prelegentów radiowych. Pojęcie radiofoniczności materiału głosowego uległo już radykalnemu przeobra-

żeniu. Zauważono, że głos z natury niezbyt dla mikrofonu podatny można odpowiednimi ćwiczeniami radiofonicznymi wykształcić i do warunków mikrofonu nagiąć.

I tak znów zaświtała nadzieja dla marzących o filmie dźwiękowym, czy nawet o sukcesach radiowych. Nic więc dziwnego, że instytuty radio-filmowe cieszą się na całym świecie wielkiem powodzeniem. W tych laboratorjach wzrasta młode pokolenie, które kiedyś podejdzie do zagadnień radio-filmowych rzeczowo przygotowane, aby sięgnąć chciwą dłonią po pewniejsze na tych polach sukcesy, niż ich ojcowie.

## 3. Radjodykcja.

Oczywiście, że jedną z najważniejszych pozycji programowych tych szkół radio-filmowych to specjalny dział wymowy, będącej na usługach właśnie mikro-

*Jak się poznaje sekrety  
radiowymowy...*



fonu. Chodzi tu przede wszystkim o przystosowanie tonalne, o radjofoniczną niejako gimnastykę głosu. Należy uwzględnić specyficzne warunki dykcji mikrofonowej. Tu przerzuty np. tonalne ostro się zarysowują, a zbyt swobodne posługiwanie się dysonansami prowadzi do niebezpiecznych dla całości zgrzytów. Nie mogą zagłębiać się tutaj we wszystkie szczegóły tych zagadnień.

A trzeba przyznać, że są to rzeczy trudne. Doprowadzenie do mistrzostwa średnicy głosowej, od czego zacząć powinno się zawsze montaż techniki wymowy, a specjalnie w radjodykcji. Umiejętność wydobywania małą rozpiętością skali wszelkich tonacji uczuciowych. Ekonomja dynamizmu, celowość i czystość zarazem budowy okresu tonicznego. A

przylem: rzeźbienie, cyzelatorstwo niemal dźwięków, z wielu powodów tu konieczniejsze, niż w każdej innej dziedzinie wymowy. Warunki techniczne mikrofonu wymagają jak najdalej posuniętej czystości dykcji. Każdą wadę potęguje, wyolbrzymia mikrofon. Tu również zdradza się odrazu jakikolwiek rys przesadny, który np. na scenie przeszedłby może niepostrzeżenie. Trudno utrzymać się na tej złotej średnicy głosu i za-

*Po raz pierwszy przed  
mikrofonem. Audy-  
torjum nie przejmując  
się zbytnio tremą  
delikwentki*





razem umieć wydobyć barwność i melodyjność żywego słowa.

Potrąciłem tylko o pewne zagadnienie techniki wymowy, będącej na usługach mikrofonu. Nie syntetyzuje to oczywiście w pełni trudności, związanych z tą nową dziedziną. Pomiąłem wiele problemów ściśle już fachowych. Wolę przejść do uwag o pracy w laboratorjach czy instytutach radjo-filmowych.

#### 4. Laboratorium radjo-filmowe.

Jesteśmy więc w tego rodzaju laboratorium radjo-filmowym. Oczywiście — wszystko jedno: czy to będzie Berlin, Londyn, czy jakaś inna metropolja wiedzy mikrofonu i ekranu. Zajmijmy stanowisko obserwatora.

Tu grupka przyszłych sław uczy się naturalnego, a zarazem racjonalnego układu warg, co ma specjalnie w radjodykcji wybitne znaczenie. Dla filmu dźwiękowego stanowi to wcale poważną wartość estetyczną. Dla ludzi natomiast „z zewnątrz” takie chorałne ćwiczenie z zakresu techniki maski nie jest pozbawione komizmu.

Tam znowu widzimy dwie zapalone adeptki, które starają się uzgadniać wyraz toniczny z gestem i z mimiką. Jest to więc wyższy jakby już etap pracy. Chodzi o synchronizację niejako wzruszeń fonetycznych z optycznymi. To już dział kina dźwiękowego. Kto urytmizuje swe przeżycia z nerwem tak

ekranu, jak i mikrofonu, ten dopiero może być pasowany na aktora dźwiękowca. A nie jest to wcale łatwe. Ekran i mikrofon — to dwa jakby żywioły, mimo swej rzekomej



*„Błaski i nędze”  
mikrofonu...  
Niedogodność  
pozycji nie może  
wpływać na to-  
nalność czy wyraz  
żywego słowa*

martwość. Statyczność ich jest tylko pozorem. Trzeba umieć powiązać ich rytm. Synchronizować sobą — swoim unerwieniem — te dwie dziedziny.

#### 5. Po raz pierwszy przed mikrofonem.

Tu znów jesteśmy świadkami wprowadzenia nowej siły w zaczarowane koło mikrofonu. Odbywa się chrzest. Młoda recytatorka mówi po raz pierwszy przed mikrofonem. Czy rozumiecie? Jak brzemienna w treść jest ta chwila! Nie lekceważmy tego momentu. Jest to przełomowa godzina, która nawet dla rutynowanego aktora jest ciężarem. A cóż dopiero mówić o kimś, co ma dopiero lat osiemnaście czy dziewiętnaście. Pierwszy raz przed mikrofonem! Przeżycie o wiele bardziej wstrząsające, niż nawet pierwszy krok na scenie. Trzeba to właśnie pojąć: tam na scenie — czy ewentualnie estradzie — natura wrażliwa, czuła zdobywa szybko kontakt z widzami, szybko nawiązuje się nieprzejana czy sympatja. Lody pękają. Jesteśmy w kręgu żywych. Bezpośrednio — twarzą w twarz. A tu — zamknięci w pudle obitem sukniem, w atmosferze przeraźliwej ciszy, mamy podbić, oczarować, czy choćby przekonać tych, których widzieć nam nie dano.

*Wytrawne  
oko i ucho  
reżysera  
bada wyniki  
pracy.  
Z drżeniem  
czekają młodzi  
na wyrok*







*U góry: w scenach chóralnych oddziela się mikrofon od wykonawców kolarą w celu stłumienia głosów. Niżej: moment z audycji*

I przeraża nas właśnie ten moment zetknięcia się z mikrofonem, z otoczeniem dla nas tak obcym na pierwszy rzut oka i tak zimnem. Ale kto zdoła przezwyciężyć to pierwsze niewątpliwie przykre wrażenie, kto da się porwać nasyconej dala atmosferze pracowni, w której znajduje się mikrofon, ten przełamać opór wrogiej człowiekowi przestrzeni i twórczy zdobędzie kontakt z niewidzialnymi wprawdzie, ale wyczuwalnymi widzami. To znaczy dojść do syntezy kontaktu artystycznego, do wyższej jego formy. I nawet ta ciężąca nam przedtem cisza, ta rzekoma marmurowość otoczenia już nas nie przytłacza. Rośnie cisza, zadziwiająco milczeniem, doskonała, jakże nam przychylna atmosfera tworzenia. Mamy jakby gwarancję spokoju. Możemy skoncentrować w pełni naszą uwagę na przedmiocie artystycznym, na ma-

terjale nam przez sztukę powierzonym. I dzięki temu mamy możliwość uzyskania większego stopnia nasilenia, doskonałości, precyzji. I wówczas wysuwają się z mikrofonu ku nam jakby czyjeś bliskie, kochane dłonie i wciągają nas dobrotliwie w krąg czaru. I to na zawsze.

Ale to dzieje przyszłości, sprawa życia się z mikrofonem. Tymczasem trema gnę naszą adeptkę, dla której chrzest ten radiowy będzie wspomnieniem niezapomnianem. Ale powoli opanowuje się. Myśl o przyszłości, którą chce ta młoda istota zdobyć, każe jej przełamać strach. Przecież musi zwyciężyć...

*Jerzy Ronard Bujański*



*Blask słońca o północy*

# *W kraju północnego słońca*

(Wrażenia z Podróży Północnej na S. S. Polonja)

Napisał:

J. B. Rychliński

(Część fot. wyk. z S. S. „Polonja”)

Działo się to w szkarłatnej kolumnowej sali u Vivla w Kopenhadze...

Dokoła warowały ciężkie meble w stylu wiktoriańskim, a na nich zażywał wywczasu kwiat kupiectwa duńskiego, który tak bujnie rozkwitł na światowej wojnie. Po piętrowych taflach okien, przesłoniętych storami z żółtego jedwabiu, pełgały kolorowe światła, bijące z luna-parku, Tivoli. Ciężkie kandelabry zlewały jasnością srebrzystą zastawę, lśniły na gorsach fraków i na miękkich dekoltach tualet. Dokoła krągłego dancingu falowały melodje smyczkowej orkiestry przedwojennym umiarem i rzuwnym patosem. Wąż z kilku boyów, niosących kryształowe naczynia z lodem, przewijał się u stolika, zajętego przez Cudzoziemca. Był on sam w tym obcym tłumie, zupełnie sam z Cieniem swoim, który blade od nadmiaru

światel warował mu u łokcia, cienki jak liść i podobny do drapieżnego ptaka. Patrzyli sobie w oczy ci dwaj — Cudzoziemiec i jego Cień — i prowadzili rodzaj niemego dialogu:

— I cóż, Panie mój, jesteśmy na tropie?

— I ja, Cieniu, czuję tu pewien urok.

— Tak, urok nieznanego. Jak dobrze, Panie, że nie znasz języków Północy! Piękne to tylko, co nieznanne.

— A traci urok, gdy je poznajemy.

— Patrz, Panie mój, jaki cienki staroświecki łańcuszek na szyi tej kobiety.

— Niech się tylko nie odwraca. Na Boga! niech się nie odwraca! Nie widziałem tak subtelnej roboty. Jak korona.

— To robota gnomów... Odwraca się. Ha! Tym razem możesz spojrzeć, o Panie.

Cudzoziemiec spojrzał i zobaczył tylko



profil, profil twarzy wąskiej, dziwnie kobiecej. Chciał podnieść się, wstać, lecz czarna ręka Cienia, czteropalczysta jak łapa trolla, demona Północy, zatrzymała go i przygwoździła. I profil znikł w tłumie, zastąpiły czyjemiś plecami.

Z wieży ratusza spłynął kurant; wydzwoniły dwa kwadranse. Cień poruszył się niespokojnie i szepnął: — Wołaj kelnera, Panie. Nasz okręt odbija o północy. Mamy ledwie pół godziny.

Na okręt przybyli w porę. Cień pierwszy wdrapał się po schodni; tak mu było pilno, tak pilno! — Czego, u djaska, Cieniu mój, tak się śpieszysz? Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Cień był czujny, sprężony, niespokojny.

\*

Na okręcie Cudzoziemiec był pasażerem z pokładu B, z kabiny Nr. 13, a przeto dla krótkości zwano go Nr. Trzynasty. Cień jego, oczywiście, nie figurował wcale na liście pasażerów, gdyż ludzie nie uznają cieni, mają je za nic. Okręt w swej północnej podróży przebiegał się niemal wzdłuż południka, ku coraz większym szerokościom. Morze Północne było jak wklęsła tarcza z rozlewnej akwamaryny, kuta szybko-szybko niewidzialnym młotem w szumiące wądoły i pagóry.

Noce ociągały się z nadejściem coraz dłużej. Drugiego dnia na horyzoncie wyrósł mur mroku.



*Pola śnieżne i gleczery*

W murze mroku otwierały się bramy olbrzymów — fiordy.

Morze stało się wkrótce jak zmiętoszony jedwab.

Już zręby czarne i owilgłe wiały dreszczem i mrozem. Morze — jak popielate lustro; mkną po niem odbicia, białe podskrzydła i podbrzusza mew.

A dokoła Pasażera Nr. Trzynasty kipi na pokładach nieznośne mrowisko. Ktoś pyta, czy do mew strzelać wolno? Ktoś biada nad Norwegami, iż mają ziemię tak jałową. Oł, zwykli, codzienni ludzie.

Dwoje spotyka się u schodni: — Dobry wieczór na panią! — Dobry wieczór, a jakże się pan trzyma, tak na wogóle? — Wogóle, i owszem, już mi zimno.

— Poco, na Boga — pyta Trzynasty swego Cienia — jada na fantastyczną Północ, skoro w nich tyle prozy?

— At, ludzie — macha łapą czarny troll —



*Ktoś pyta, czy do mew strzelać wolno?*

ludzie jak ludzie. Piękne jest tylko to, co nieznanne.

W cytrynowym blasku późnego wieczoru z poza szchery wypływa biały jacht. Siatka tennisowa oparkania rusę. Czerwona flaga z biało-granatowym krzyżem. Bandera Norwegji.

Na pomoście smukła sylwetka w białym kostjumie, w bieli nie-tykalnej, próżniaczej i królewskiej. Filcowy helm biały mocno twarz wąską oblega. Czyżby ona, Dama od Vivla? Piękne jest tylko to, co nieznanne. — Co dalekie, nieznanne i niedo-



*Nordcap od południu*



*Kraj niezmierzonych perspektyw i grzbietów górskich...*

siężne — poprawia Cień i śmieje się w czarny kulak swym grzmiącym, huczącym śmiechem starego trolla.

\*

W Bergen, zwrócone wąskimi frontami do nabrzeża, stoją domy drewniane i zwietrzałe. Każdy z nich nad szeroką bramą nosi godło: ten — rybę, ów — kupca w średniowiecznym stroju, tamten — faszę, inny znów — zbroję w miecz rękę.

Nieżnośny odór ryb wszelakich, suszonych i wędzonych, bił z wnętrza bram. Nikt nie

chadza tamtędy dla przyjemności. Cudzoziemiec tylko z nieodstępnym swym Cieniem wybrali się do hanzeatyckiej dzielnicy Tyskebrüggen.

Z bramy biegnie wglęb długa, wąska uliczka, na którą wychodzą oparte na słupach podsienią, zawalone rybami, umazane wielorybim tranem.

Nad uliczką, wiodącą do nieznanego królestwa obfitości, do labiryntu składów — rodzaj przejść krytych z okienkami pośrodku.

I, mimo nocy białej, w uliczkach rozpościera się mrok fan-

tastyczny i wielopalczasty. Tu garb przysadzisty, tam niespodziewany załam, jeszcze krok i zieje wyłot podziemia.

W łuku nad uliczką za ślepą szybą zapląsało światło i ukazał się zarys głowy.

— Chodźmy za tem światłem — powiada Cień do swego Pana. — Przecie nas gdzieś zaprowadzi.

I poszli.

Światło zamigotał podsieniami. A oni ciszkiem a chyłkiem tuż za nim, od słupa do słupa, trop w trop. Tak doszli do jakiegoś korytarza i drzwi się przed nimi zamknęły.



Cudzoziemiec strzepnął palcami z suchym trzaskiem.

— Jak sądzisz, Panie, — szepleni Cień, — która przygoda jest lepsza: czy taka, która podnieca wyobraźnię i nigdzie nie prowadzi, czy też taka, która grzęźnie w trywjalnej awanturze?

Nisko, na dnie uliczki, znów ukazało się światło. Zajrzeli przez zakratowany otwór. Był tam obszerny skład, oświetlony skąpo latarnią, którą garbaty klucznik postawił na drewnianej podłodze. Zabrął wgląd i zaświeciły wnet żółto żarówki w gniazdkach z drutu. Skład był pełen futer.

Klucznik wrócił niebawem w towarzystwie kobiety. Dźwigał gruby foljał pod pa-

Z zakurzonych półek klucznik ścigał skóry, a kobieta sprawdzała i znaczyła w grubej księdze. Cudzoziemiec miał czas jej się napatrzeć. Ruchy jej były powolne i opanowane. Twarz nieruchoma jak alabastrowa maska, ani smutna, ani wesoła, bez drgnień. Dziwna mieszanina skupienia, melancholji i milczenia. Kobieta Północy.

Czego tam nie było? Skóry rena i łosia. Wyprawne i niewyprawne. Żółtawe mechate futra białego niedźwiedzia i drogocenne czysto białe jak śnieg. Pstrokate, szare futra fok i loki z połyskiem, barwione. Lisy polarne, srebrne i czarne. Jaskrawe makaty i opończe lapońskie z nordyckim zębatym wzorem, czerwonym, słomkowym, granato-



*Kanał w Trondheim*

chą. Cudzoziemiec gwizdnął zeicha — zobaczył damę od Vivla.

— Czy to napewno ona? — spytał. Cień wzruszył tylko kanciastymi ramionami. Uderzające podobieństwo. Ta sama twarz, bardzo wąska, ułożona wedle zasad nieznanej harmonji. Włosy przedziwne jasne, zczesane gładko aż na plecy, oczy przezroczyste do dna, bardzo długie, z nieuchwytnym, przyćmionym ogniem. Wysoka, młoda i gibka. Miała na sobie rodzaj modrej pidżamy z bluzką obcisłą, oblamowaną nakrzyż dwoma jaskrawymi pasami — letni strój kobiet norweskich. I zarzutkę z srebrzystego futra.



*Lodowiec „Svartissen”*

wym. Kolpaki i kapuzy futrzane. Gronostaje z odcieniem starej kości słoniowej.

— Uni! — zawołał ktoś z wewnątrz. — Uni! — zawołał głośniejsze. Kobieta zamknęła rejestr i weszła na schodki wąskie, strome, jak drabina.

Czar prysnął.

Klucznik pakował skóry.

Cudzoziemiec zapukał w kraty. Klucznik nawet głowy nie uniósł. Cudzoziemiec zapukał gwałtownie. Nikt się nie odezwał. Czyżby ten stary był głuchy?

Spakował skóry. Zapalił latarnię. Zgasił światła i pokuszył bocznym korytarzem.

— Na imię jej Uni — szepnął Cudzoziemiec. Cień znowu wzruszył ramionami.

Długo szukali wyjścia z labiryntu ciemnych przejść.

\*

Żegluj. Fioletowy kraj bajki z sag melancholijnych i okrutnych. Kraj Wodza Haakona, który w Sognefjordzie wyciął w pień wikingów pomorskiej Winety. Kraj króla Iwara, który poślubił własną córkę. Kraj Hroara i Helgi, opętanych miłością kochanków, za których z wzdargą w sercu zginął olbrzym, stary Stoerkodder. Kraj niezmiernych perspektyw i grzbietów górskich i przełęcz, do pasa zatopionych w oceanie antarktycznym, a od pasa w dniu wiecznym, w nocy nienistającej i w zorzach polarnych. Kraj ten daleki jest od normy, od codziennego bytowania, od zwykłego trybu życia. Sam widok tych przedpotopowych dziedzin gnębi bezsenne ciało, a duszę poddaje gorszej jeszcze torturze, tęsknocie niewytłumaczonej. Naokół tylko rozwidlające się cieśniny morskie między rosnącymi w dół i w górę masami skał, do niczego i do siebie niepodobnych. Wszystkie odcienie błękitu oddalenia piętrzą się amfiteatralnie. I do niczego niepodobne jest błędzenie wśród tej melodii z kamienia, wśród fal i światła, do niczego niepodobne — ani do życia, ani do śmierci, raczej do snu mocnego a wyrazistego.

Urasta do synaicznej grozy, w niebo się wspina niewytłumaczona, paląca tęsknota.

Widzieli Nordeap — Przylądek Północny — pod podwójnym łukiem tęczy. Widzieli Tron Bożyszcz pod Nordeapem. Przed nimi z Ptasiej Góry porwała się chmura

mew. Stały lawice bezłotków. Były na niebie chmury ołowiu. Były na morzu pasy dziewiczej, żółtej siarki i pasy modre z siaraki płonącej. Były zmroki z amarantu i ultramaryny. Fale koloru wina. Były smugi chmur na wysokich masywach i gdzieś tam chmury chabrowe. Spadały wodospady jak pasma srebrnej koronki. Raz miraż wysp ukazał się odwrócony w zwierciadlanym powietrzu. Słońce o północy toczyło się po nieboskłonie i, nie zapadłszy pod horyzont, podnosiło się na nową wędrówkę. Dal. Pustka. Nic się nie stało. Dopiero u podnóża lodowca — Czarny Łód — ci dwaj, Cudzoziemiec i jego Cień, spotkali Dziewicę Lodów.

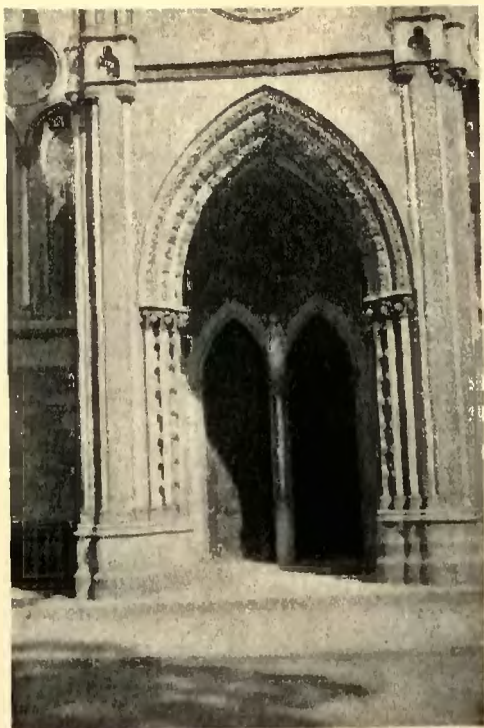
Inni turyści nie poszli tak daleko. Zostali na szczycie moreny, z której buchała rwąca rzeka. Nikt więcej nie widział Dziewicy Lodów — tylko Trzynasty i jego Cień.

Nieznocnie raził i kłół w oczy blask od poszarpanego morza lodu. Ukazała się na dnie rozpadliny w glorii modro-srebrzystej, spoglądała w górę i skinęła. W następnej chwili zielona jej suknia zaczęła się roz-



Biały dom króla Haakona w Trondheim





*Odrzwia katedry w Trondheim*

plywać w szmaragdowej ścianie lodu. Jeszcze chwila, i rozpadlina zamknęła się nad nią z hukiem trzęsienia ziemi. Turyści pierzchli z moreny, jak gdyby ich wichur zmiotł.

Nr. 13 długo naradzał się ze swym Cieniem, czy była to Uni, czy nie była?

Lecz mimo tylu uroków, Trzynasty zachowywał względny spokój, dopiero stracił głowę w starożytnym Trondheim.

Stoi tam najpiękniejsza katedra świata. Nawy ma romańskie, ale łuki, witraże, filary i rozety są w najczystszej gotyku.

Wzdłuż fryzów biegnie galerja średnio-wiecznych chimery.

Trzynasty zastał kobietę w czerni u otłarza ze srebra i hebanu. Przeszedł za nią przez mistyczny mrok całej katedry i kiedy, mrużąc oczy, stanął przed kruchłą, wysoka czarna postać wspięła się przed nim po fryzach i skamieniała. Na fryzie spostrzegł dwie chimery. Obok starca w opończy, lecącego w wirze szyderstwa, do ohydnej gęby czarta mizdrzyła się piękna kobieta. Popiersie zdobiła słodka, harmonijna, uroczna twarz. Była to twarz Uni. Ta sama twarz. Ten sam rodzaj czaru.

Polem już port Norwieg, posępny Hammerfest i spokojne osiedla na Lofotach minęły jak widma miast. Szlak wyznaczały latarnie wielkie i małe latarenki, mrugające kolorowo z pod białych stożkowych okapów. Boje dzwoniły i huczały, jak koboldy, siedząc na rafach i podwodnych kamieniach. Cieśniny ścisnęły niemal boki okrętu. Załogi otwierały się i zamykały nagle. Okręt opłynął przylądek i mijał malowniczą zatoczkę, wcisniętą między złomy. Mżył czysty wodospad i głosił wieść z nieba. Nad lustrem jeziora stał domek kamienny, mchem rudym zarosły. W porannej morce wily się niebieskoskrzydłe mewy, o skrzydłach iście niebiańskiego koloru.

Od minjaturowej przystani odbiła łódź. Na krytym dziobie czółna była jasnowłosa smukła dziewczyna w pidżamie modro-szkarłatnej.

Nr. 13 przechylił się przez balustradę rufy. Obejrzał się. Nikogo dookoła. Przechył okrętu. Podskoczył. Przewinął się nad balustradą. Wzdłuż czarnej burty, wzdłuż rzędów luk leciał wdół za Nr. 13-ym Cień jego czarny i drapieżny. Przejmująco zimna fala zamknęła się nad Cudzoziemcem. Cień zniknął w pianach. I słuch wszelki o nich zaginął.

## Szkice psychologiczne



*Kobieta i opinia*

Rys.: Z. Jurkowski



# PIERWSZA SENSACJA

## Z NOTATEK REPORTERA

Napisała:

Ilustrował: A. Siemaszko

Helena Schupp-Rudkowska

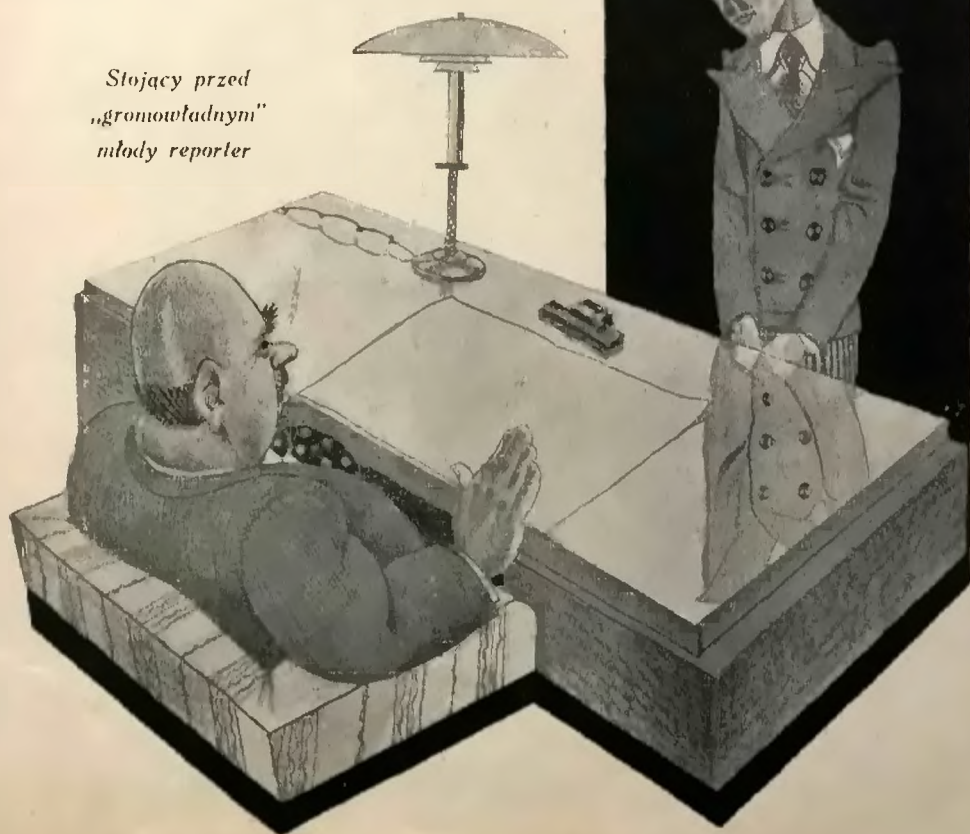
— Co takiego?... Podwyżki pan żąda?... W dzisiejszych czasach!... Kiedy tyle osób musimy zredukować?... Podwyżki?... Pan?... i z jakiegoż to powodu? Przecież pan pojęcia nie ma o prowadzeniu reporterki! Od pół roku — to jest od czasu, jak pan u mnie pracuje, nie dał pan dziennikowi ani jednej sensacji! Słyszysz pan?... Ani jednej!...

Naczelnik redakcji nie był w humorze.

Czasy ciężkie, walka z trudnościami natury finansowej, politycznej, ze strajkami i wielu, wielu innymi przy-

krościami — nie usposabiały do uprzejmości.

*Stojący przed  
„gromowładnym”  
młody reporter*



Stojący przed „gromowładnym” młody reporter smutnie zwiesił głowę:

— Wiem, panie redaktorze... ale... ja się postaram... zobaczy pan... ja tylko jeszcze wprawy nie mam... ale...

— Obiecuje pan to od kilku miesięcy — a tymczasem przynosi mi pan same bzdury... o kwiatkach... motylkach... chmurkach... et caetera. Panie kochany, to przeżytki, „tempi passati” — rozumie pan? Dziś, nawet młodzieź — a zwłaszcza ona — śmieje się z tych romantycznych kawałków!... Albo i to, co mi pan dziś dał!... „Biedne wróbelki”, „usiadły na drutach, zabite prądem... et, koń śmiały się! Obecne tempo życia woła o coraz nowe sensacje — rozumie pan?... A pan mi tu „biednymi wróbelkami” głowę zawraca... i do tego podwyżka!...

Stefan trwożnie obejrzał się na drzwi — były uchylone. Koledzy słyszeli słowa ironizującego redaktora — znowu będą pokpiwać.

Więc żeby zakończyć ten wylew gorzkich słów, skłonił się w milczeniu i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Kilka par oczu cisnęło weń rakiety złościwości.

Słyszeli. Stefan, ze sztucznym spokojem zajął swoje miejsce przy biurku i pozornie zagłębił się w pracy. Ale tylko pozornie — bo w rzeczywistości brutalne słowa szefa rozdarły niby już zabliźnioną ranę. Tak, niestety, szef miał najzupełniejszą słuszość. Nie nadawał się na reportera. Doktor filozofji, zajęty szczerze nauką i studjami, które ukochał, nie zwracał uwagi na życie i ludzi, którzy go otaczali. Reporter nie może patrzeć w głąb swojej duszy — musi umieć patrzeć dookoła i wyciągać z tego korzyści. Musi mieć zmysł spostrzegawczy, musi chwycić szybko — tak szybko, by go inny nie ubiegł — wydarzenia interesujące, wesołe i smutne, nieraz brudne, a często tragiczne. Stefan tego nie umiał — ot — poprostu nie miał w tym kierunku zdolności! Gdy po długich i żmudnych staraniach o posadę, udało mu się wkręcić do redakcji wielkiego dziennika — czuł się prawie szczęśliwy.

Skromne dochody starał się powiększyć pracą literacką, zresztą — dla nich dwojga wystarczało zupełnie! Żona jego — Janka, dobre i niewymagające to było stworzenie, Pobrali się przed kilku laty z prawdziwej, głębokiej miłości.

Bogactw nie posiadało żadne z nich — ale młodość, zdrowie, wiarę w siebie i — chęć do pracy. Janka — choć zajęta jako stenotypistka u adwokata — miała czas na wszystko. Więc i skromne ich mieszkanko wyglądało zawsze jak bombonierka, i „toalety” pani Stefanowej wychodziły z jej własnej pracowni.

Tak było — dawniej!... Stefan, pochylony nad biurkiem, myśli, że teraz, od roku może, coś się jednak w ich szczęściu popsło. Jakiś cień padł na ich miłe mieszkanko, jakiś niewidzialny wróg wypędził zeń słońce i radość.

Stefan nie umiałby dokładnie określić, co to było takiego, ale czuł, był pewny, że było.

Wesoła dawniej i pogodna jak letni poranek Janka — stała się dziwnie nerwowa, niespokojna i podrażniona. Zmizerniała, popładła, oczy, jakieś prawie tragiczne — gorzały niezwykłym blaskiem.

Czasem, o byle głupstwo — robiła mu poprostu scenę — to znów bez powodu płakała lub szalała z radości.

Na kilkakrotne prośby, później nalegania Stefana, żeby zasięgnęła porady lekarza — odpowiadała zawsze bardzo stanowczo — odmownie. Twierdziła, że czuje się doskonale, że żadnej kuracji nie potrzebuje, że — i tu wytaczała najsilniejszy argument: że są za biedni, by mogli sobie na doktora i kurację pozwolić.

Biedni!... zapewne, skromne mieli dochody — ale, Stefan pamięta — jak się pobierali, mieli jeszcze mniej, a wystarczało na wszystko — często na teatr i kino!... A dziś?... Z trudem wiązać koniec z końcem — ledwie że na najniezbędniejsze potrzeby życia wystarcza!

Stefan zły rachmistrz, ale to wie, że oddaje żonie — jak dawniej — wszystkie swoje dochody, a Janka ja-



kość ostatnimi czasy nie może sobie dać rady!

Ona — taka gospodarna i oszczędna!...

Wsparł głowę na dłoni i kreśli bezmyślnie jakieś cyfry i rachunki — i coraz ciężej robi mu się na sercu, a coraz chmurniej na duszy.

Jedno wie napewno — że „psuć” się u nich zaczęło od czasu, jak Janka zaprzyjaźniła się z tą Francuzką.

Dziwna to była kobieta — i Stefan jej nie lubił!...

Nie pierwszej już młodości — choć doskonale zakonserwowana — pani Ladrier była blisko od roku sąsiadką Stefana. Z Janką przyjaźniła się od pierwszego prawie spotkania. Razem wychodziły, razem robiły sprawunki, nie rozstawały się prawie. Ile razy po powrocie z redakcji Stefan zapytał o nieobecną żonę, służąca odpowiadała: „Pani poszła do tej rudej pani”...

Stefan sam nie wie dlaczego — ale przysięgłby, że to „coś”, co mu psuje harmonję domową, co podkopuje zdro-

*Czyjaś ręka  
spoczęła na  
ramieniu...*



wie Janki, a tem samem ich szczęście — to ta Francuzica!

Próbował kilkakrotnie użyć swego wpływu na żonę i oderwać ją od tej dziwnej przyjaźni — napróżno!... Janka śmiała się, wreszcie przytuliła do niego, tak jak to ona umiała, i głosem rozpieszczanego dzieciaka mówiła:

— Tak mało mamy rozrywek, Stef, lubię ją... A bezpłatna konwersacja francuska też coś warta!... A może wolalbyś, żebym znalazła przyjemność w towarzystwie męskim?...

Tem go zwyciężała i zamykała mu usta.

O tem wszystkiem myśli teraz Stefan — a minuty, kwadranse i godziny mkną, stapiając się w wieczność...

Czyjaś ręka spoczęła na jego ramieniu, i nieco schrypnięty głos wyrwał go z bolesnej zadumy:

— Cóż to, panie kolego — nie idziecie na obiad? A tam pani Janina wypatruje swoje śliczne oczka!...

Stefan odwrócił głowę — za nim stał stary Burda, kolega redakcyjny. Jeden „możliwy” — jak go określał Stefan.

Burda zakaszłał i podsunął Stefanowi pod oczy zegarek. Było po trzeciej. Z tłumionem westchnieniem Stefan zgarnął pokreślone świstki do szuflady, zamknął biurko i wstał.

Burda, ciągle pokaszlując, owijał szalikiem wyschniętą szyję.

— Eh — kochany panie Stefanie, nie trzeba tak tragicznie brać tej historii. Nie zna pan „starego”?... Gęby na kłódkę nie zamyka — gada, zrędzi, czasem trzepnie brzydkim słowem — ale serce ma złote!... A zresztą — uderz się pan w piersi — rację ma! Reporter, to nie poeta — musi mocno stąpać po ziemi, często po błocie...

Wyszli razem.

Stary, wiecznie kaszlący Burda rozgadywał się na dobre:

— Tu, w redakcji, wiadomo — nikt panu nie poradzi, ot — jak zwykle koledzy, nie dziw, konkurencja dziś szalona, o kawałek chleba coraz trudniej! Ale ja... eh, ja panu poradzę!...

Stefan spojrzał na starego ze zdziwieniem i wdzięcznością.

— Tak... ja panu zdradzę tajemnicę chwytania tak zwanej „sensacji”, na której tak bardzo redaktorowi zależy. Ja tam już nikomu nie zazdroścę... sam jestem... dużo mi się od życia już nie należy...

Zakaszłał, splunął i chrypiał dalej:

— Sensacji, kochany panie, nie szuka się w obłokach... ani w słońcu, ani w kwiatkach!... Jej się szuka — w komisarjacie policji i w Pogotowiu ratunkowem!...

— Co pan mówi!... Jakże to?...

— Ano, tak, jak mówię! Ale to trzeba sprytnie — ho, ho!... Bo pan — daruj pan, że powiem otwarcie — zanim pan się czegoś dowie, to już pańscy koledzy dawno to podali szefowi!... Widzi pan — Burda zniżył głos i ujął Stefana pod ramię — ja... mam przyjaciół i w policji... i w „Pogotowiu”... Od czasu do czasu jakiś tam kieliszeczek... robi swoje!... Ale mam zawsze wiadomości z „pierwszej ręki”.

Przystanęli u zbiegu ulic — tu drogi ich się rozchodziły.

— Otóż, chciałem panu zaproponować... przy najbliższej sposobności, jak dostanę od któregoś z moich przyjaciół telefon, że tam a tam stało się „coś potwornego”... zabieram pana ze sobą... dobrze?...

— Dziękuję... z całego serca dziękuję!...

\*

Dni i tygodnie mijały — a obiecana przez Burdę „sensacja” nie zjawiała się. Już ciepłe, pogodne dni jesienne ustąpiły miejsca swoim chmurnym, łzawym siostrzycom. Wiatr jęczał i gwizdał — rozwiewając, wraz z zeschłemi liśćmi, ludzkie nadzieje, uczucia... pragnienia...

W cichem mieszkanku Stefana — wraz z nastaniem słotnej pory jesiennej, zapanowała też jakaś ciężka, pochmurna atmosfera...

Pani Janka snuła się po domu blada i bez uśn echu — Stefan w pracy nad siły pragnął utopić swój niepokój i ból. Jedynie wieczory, które



Janka spędzała często w towarzystwie pani Ladrier, powracały trochę barwy bladym policzkom, a zagasłym oczom — blask.

\*

W dobrze nagrzanym pokoju redakcyjnym siedział Stefan ze starym Burdą i ćmili jednego papierosa po drugim. Tak to już było — że nocny dyżur w redakcji kosztował ich trochę nerwów, a jeszcze więcej papierosów.

Za oknami wicher śmiał się jakimś złowieszczym chichotem, waląc o szy-

by deszczem i połamanymi gałązkami drzew.

Wskazówka ściennego zegara, posuwająca się nieubłaganie naprzód — wskazywała piętnaście minut po północy.

Obaj dziennikarze, zajęci pilną robotą, mało ze sobą zamienili słów.

Burda tylko kaszłał i od czasu do czasu rzucał ze swego obfitego repertuaru jakieś soczyste słowo.

Wtem dzwonek telefonu — jakby ostrymi nożycami przeciął nocną ciżbę.

— Halo... tak... ja sam. Bardzo sensacyjna afera?... Pachnie skandalem?... To świetnie!... naturalnie, że jadę z panem... to jest... jedziemy, bo — pozwoli pan, panie komisarzu, że zabiorę jednego z kolegów... dobrze?

Stary cisnął słuchawkę i ożywiony zerwał się od biurka:

— No, panie Stefanie — niech mnie szlag trafi — jeśli pan dziś nie zrobi karjery! „Stary” jutro sam przyleci do pana z podwyżką!... Jazda — zbieraj się pan!

Zadzwoił na woźnego, pogadał z nim o korekcie i innych sprawach, zapewnił, że za godzinę wróca — i już windaniosła ich nadół. Krzyknęli na taksówkę — a w pięć minut potem znaleźli się w komisariacie policji X obwodu.

Mały, łysy, ruchliwy komisarz był w swoim żywiole.

— Ooo, to gratka nie-lada! I dla nas i dla panów — skłonił się lekko w stronę dziennikarzy. — Palarnia opium!... ha! ha! ha! — to coś jak w Nowym

...ja dzwonię...



Jorku... lub w Chicago! Nasze spokojne miasteczko będzie nareszcie miało prawdziwą sensację!... Jedziemy!

Dwa samochody czekały przed bramą. W jednym siedziało już kilku posterunkowych w towarzystwie agentów — do drugiego wsiadający komisarz zaprosił obu dziennikarzy.

— Jak najciszej — rozkazał szoferom.

W milczeniu i bez światła — jak korowód duchów — wraz ze świstem wichru mknęli przez wyludnione ulice miasta.

W dzielnicy bogatych will, przed jedną z nich — stojącą nieco na uboczu — cicho zatrzymały się oba samochody...

W ogrodzie, którego drzewa i krzewy gięły się w śmiertelnym tańcu z wichrem — piękna, parterowa willa zdawała się być pogrążona w głębokim śnie.

Zaden ruch, ani odgłos nie wskazywał na to, że ktokolwiek w tym domu czuwa.

Ale doskonale widać poinformowany urzędnik nie dał się zbić z tropu. Obejrzał dokładnie front domu, przez żelazne sztachety sięgnął wzrokiem do ogrodu.

— To tu — mruknął, a zwracając się do swego „zespołu”, położył palec na ustach. — Czterech obstarwić dom — krótkie rozkazy — ja dzwonię. Gdy otworzą, wtargnąć wszyscy.

Cztery ciemne postacie, oderwawszy się od grupy, przeskoczyły zwinnie niewysoki parkan i zniknęły w ciemnościach.

Komisarz nacisnął kilkakrotnie, w rozmaitych odstępach czasu, białą kulkę dzwonka i usunął się szybko pod ścianę, popychając na swoje miejsce Stefana:

— Będzie obserwował przez otwór... mnie znają... stań pan tu... Hasło: „Eros”.

Minuta, którą czekali, wydała im się godziną.

Wreszcie — kroki... powolne... ciche... ale wyostrzony słuch łowi je...

Znów cisza... szmer otwieranego w bramie okienka. Głos męski pyta:

— Kto tam?

Komisarz, przyklepiony do ściany, skinął.

— Eros — mówi trochę niepewnie Stefan.

Zgrzyt klucza. Uchylona brama. Zakotłowało — w ciszy i ciemności.

Latarki elektryczne. Zatrzaśnięcie bramy. Zgrzyt klucza.

— Wszyscy?

— Wszyscy.

— Pilnować tego draba, a my — naprzód!

Na gumowych podszewach stąpają jak koty...

Kilka schodów... drzwi. Wytrych otwiera bez szelestu. Starsza dama...

— Co?... czego?... — sięga do tastra.

— Ręce do góry!... dwóch zostać... reszta — za mną...

Rozsuwają ciężkie kotary...

Zjawia wschodu!...

Ogromny, z przepychem wschodnim urządzony salon. Poduszki — same poduszki... Półświatło różowe, niebieskie, żółte... Drażniące. Słodki zapach.

Na otomanach, poduszkach, dywanach — poskręcane w jakiejś historycznej ekstazie postacie. Twarze blade... roześmiane lub tragiczne.

Wszystko przysłonięte mgłą opalonych oparów...

Fajki... małe, czarne kuleczki...

Opium!...

Na niskiej, tureckiej otomanie — dwie kobiety...

Jedna — w wizyjnej ekstazie, zanosi się historycznym śmiechem... Rude włosy, zlepione potem, opadają w nieładzie na blade czoło...

Druga — w bezwładnych już wargach trzyma jeszcze fajkę ze słodką trucizną... a fosforycznie świecące oczy patrzą nieprzytomnie na grupę mężczyzn, ukazującą się w kolarze...

— Jezus! Marja!... — jakiś zwierzęcy ryk.

Komisarz i jego towarzysze zatrzymali się...

— Co to?





*Jezus Marja!!!*

Jeden z ich grona szarpnął się...  
runął na kolana przy otomaniu:

— Janka!... Janka!... — zdławiony  
głos z trudem wydobywa się z krtani.

Chwyła ją za ramiona i potrząsa  
wątlą postacią...

Nieprzytomny wzrok ogromnych o-

czu — i jakiś grymas uśmiechu na śli-  
niących się wargach...

Stefan zemdlonem czołem uderzył  
o posadzkę...

Burda zaklął:

— Psia krew!... O! przysłużyłem ci  
się, biedaku, „sensacją”!...

# Tajemnice gwiazd

Dotychczasowe wiadomości o przyrodzie dalekich globów gwiazdnych, a w tej liczbie i naszego słońca, które również jest gwiazdą, ograniczały się tylko do ich powierzchni, czyli fotosfer. Zapomocą potężnych współczesnych spektrografów możemy otrzymywać fotografie powierzchni gwiazd w postaci widm, z których następnie wnioskujemy jakie pierwiastki chemiczne wchodzi w skład atmosfer tych globów oraz jakie panują na nich stany fizyczne. Co się natomiast dzieje pod fotosferą, wewnątrz gwiazd, na to pytanie obserwacje astronomiczne nie są w stanie dać nam odpowiedzi. Gęsta i prawie nieprzezroczysta powłoka rozżarzonych gazów tak szczelnie otacza rozpaloną kulę gazową gwiazdy, iż całe niemal promieniowanie wewnętrzne ulega pochłanianiu przez otaczające warstwy. W taki sposób wnętrza gwiazd są dla naszych przyrządów niedostępne. Nie pozostaje więc nic innego jak użyć teoretycznego sposobu badań, aby odkryć tajemnicę globów gwiazdnych. Może z pomocą tego „analitycznego świdra” będziemy mogli dowiercić się aż do samego serca gwiazdy i zbadać jego mechanizm.

Spróbujmy zapuścić ów „świdra” w głąb naszej najbliższej gwiazdy-słońca. Przede wszystkim zdumiewa nas olbrzymi potop energii, jaki słońce w postaci ciepła i światła stale wysyła w przestrzeń przez miliony milionów lat. Powierzchnia słońca wyrzuca w przestrzeń na minutę ciepła, które odpowiada masie 250 milionów tonn. Pomimo tak kolosalnej straty ciepła słońce może promieniować jeszcze w ciągu 15 bilionów lat, po czym nastąpiłoby całkowite wyczerpanie się materji i rozproszenie ostatniego grama masy słonecznej. Zdaje się, że promieniowanie słoneczne w ciągu długich okresów czasu nie ulegało większym zmianom. Stałość tego promieniowania potwierdzają badania pokładów geologicznych od epoki przedkambryjskiej. Od tej epoki bowiem, jak obliczają geologowie, upłynęło kilkaset milionów lat,



*Poleżne wiry gazów koło plani słonecznych. Przypominają cyklony ziemskie. Wiry te wytwarzają bardzo silne pola magnetyczne. Zdjęcie wykonano w Obserwatorium na Mt. Wilson (Kalifornja)*

a jednak badania złoż nie wykazały, aby w ciągu tego okresu zaszły jakieś poważniejsze zmiany w promieniowaniu słońca.

Jakież więc jest źródło energii, pozwalające naszemu słońcu i gwiazdom bez przerwy promieniować miliony milionów lat? Z licznych teorii, usiłujących wytłumaczyć źródło energii słońca, na uwagę zasługuje teoria Helmholtza, według której wyzwalanie się ogromnej ilości energii jest spowodowane kurczeniem się słońca. Podczas tego kurczenia się cząsteczki materji spadają ku środkowi kuli słonecznej, a powstająca wskutek spadania energia kinetyczna przeobraża się w ciepło, które następnie zasila energję słońca. Ale w ten sposób słońce miałoby zdolność promieniowania najwyżej w ciągu 20 milionów lat, gdy tymczasem epoki geologiczne wykazują, że to promieniowanie trwa już znacznie dłużej. Nawet gdyby kula słoneczna składała się z takich pierwiastków, jak uran lub tor, jej siła promieniotwórcza dawałaby nieznaczną ilość ciepła. Słońce,



złożone z czystego radu, świeciłoby zaledwie kilka lub kilkanaście tysięcy lat. Żadna kombinacja pierwiastków ziemskich nie byłaby w stanie dać tak ogromnego promieniowania, jakie wysyła słońce i gwiazdy. Możliwe, że w głębiach gwiazd kryją się inne nieznanne, cięższe atomy, które wydzielają tak ogromną energię.

Jedno tylko zdaje się nie ulegać wątpliwości, że stany fizyczne, jakie panują we wnętrzu słońca i gwiazd, są w naszych laboratorjach zupełnie nieosiągalne. Dla wytłumaczenia zjawisk zachodzących wewnątrz słońca nie wystarczają prawa fizyczne, otrzymane z doświadczeń laboratoryjnych na ziemi, gdyż nie rozporządzamy dostatecznie wysokimi temperaturami i ciśnieniami. A ciśnienia i temperatury te we wnętrzach globów gwiazdnych są zaiste olbrzymie. Według obliczeń teoretycznych J. H. Jeans'a, znanego astrofizyka angielskiego, ciśnienie we wnętrzu słońca wynosi w przybliżeniu około 1 000 000 000 atmosfer, tj. 1 000 000 tonn na 1 cm<sup>2</sup>! Naturalnie, że tak wysokiemu ciśnieniu odpowiada również wysoka temperatura, która podług obliczeń Jeans'a wynosi we wnętrzu słońca 70 000 000°C! Znamy jednak gwiazdy, których ciśnienie i temperatura są jeszcze większe.

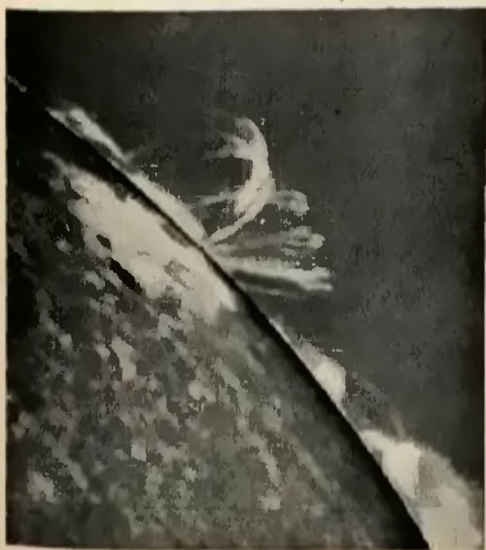
Gdyby można doprowadzić do takiej tem-

peratury cząsteczkę materji wielkości ziarnka grochu, spaliłaby ona i spopielila każdego, kto by się do niej zbliżył na odległość 2000 km! Promieniem jej możnaby zniszczyć całą armję!

Najciekawsze atoli nasuwa się pytanie, co się dzieje z materją słoneczną przy takiej temperaturze? Jak na to straszliwe gorąco reagują atomy gwiazdne?

Współczesna fizyka atomowa uczy nas, że pod wpływem tak wielkiego gorąca atomy gwiazdne nie mogą istnieć w stanie normalnym. Jak wiemy, normalny atom składa się ze środkowego jądra, otoczonego rojem obiegających po orbitach elektronów. Otóż przy tak wielkiej temperaturze jaka panuje wewnątrz gwiazd, najdalej leżące elektrony zaczynają się odrywać i uciekać. Atomy stopniowo tracą coraz więcej elektronów, aż wkońcu pozostają tylko najbliższe elektrony lub nawet same atomy. Mamy wówczas mieszanie atomów i elektronów, biegnących we wszystkich kierunkach jak molekuly w gazie. To odrywanie się elektronów, czyli t. zw. jonizacja, w większości gwiazd nie jest zupełna; pozostają zawsze atomy z jednym lub kilkoma elektronami. Tak np. wodór, hel, węgiel, azot i jeszcze kilka innych atomów we wnętrzu słońca są prawdopodobnie zupełnie zjonizowane, czyli jądra ich są całkowicie ogolone z elektronów, pozostałe zaś atomy mają najbliższe elektrony.

Pozbawione częściowo lub całkowicie elektronów atomy swobodnie bujają w kuli gwiazdnej. Ale te harce nie trwają wiecznie. Następują zderzenia się dodatnio naładowanych jąder atomów i ujemnie naładowanych elektronów, które się kończą całkowitem ich zniszczeniem. Zamiast więc cząsteczek pojawiają się wytryski energii promienistej, które się rozchodzą wewnątrz gwiazdy, docierają do powierzchni i opuszczają ją jako światło i ciepło; wytryski te podobne są do błysków materji radioaktywnej, ale kilka tysięcy razy od niej potężniejsze. Taka przemiana materji na energję nie zachodzi nigdy w zwykłych warunkach ziemskich. Może to nastąpić jedynie przy temperaturze 40 milionów stopni C lub jeszcze wyższej. Według Jeans'a, już 5 biljonów lat promieniowanie słońca odbywa się kosztem pęknięcia „butelek” jąder i elektronów. Pomińmy to wielkie zapasy owych zakorkowanych



Olbrzymi wybuch materji słonecznej, wysokości 120.000 km. Zdjęcie Obserwatorium na Mt. Wilson (Kalifornia)



*Wytrysk gazów z wnętrza Słońca w postaci fontanny. Zdjęcie Obserwatorium Yerkesa. Jak potężne muszą być siły, które powodują wybuchy, o tem świadczy ich wysokość, dochodząca niekiedy do 900.000 km.!*

„butelek” znajdują się jeszcze w słońcu, tak, że światła i ciepła starczy na miliony milionów lat.

Jak olbrzymia energia wyzwala się z unicestwionych jąder i elektronów, możemy widzieć z następujących przykładów. Zwykle spalanie tonny węgla dostarcza siły popędowej lokomotywie ekspresu w ciągu 1 godz., a gdyby zupełnie zniszczyć tę tonnę węgla, otrzymalibyśmy wówczas energję wystarcza-

jącą dla ogrzania, oświetlenia i utrzymania w ruchu wszystkich fabryk i okrętów Wielkiej Brytanji w ciągu stulecia. Jedna kropla nafty unicestwiona całkowicie dostarczyłaby siły popędowej do przeplłynięcia największemu parowcowi przez Atlantyk. Przykłady te dostatecznie ilustrują nam kolosalną energję atomów.

Energja atomów gwiazdnych może się przejawiać jeszcze w innej postaci. Może następować przemiana materji, przy której atomy zamieniałyby się stopniowo w inne, o mniejszym zasobie materji, przyczem wyswobadzałyby się tak potężne ilości energii, że wystarczyłoby jej na długie okresy życia gwiazd. Mielibyśmy wówczas analogję z procesami radioaktywnymi. Aczkolwiek ta druga możliwość uzupełnienia energii gwiazd jest prawdopodobna, to jednak, jak zaznacza A. Eddington, znakomity astrofizyk angielski, wiele danych astronomicznych jej nie potwierdza.

Tej zamianie materji w promieniowaniu podlegają wszystkie gwiazdy wszechświata. Stają się one coraz uboższe w energję. I nasze słońce kilka milionów lat temu było gwiazdą masywniejszą, niż obecnie. Jeśli przyjmiemy według teorii Einsteina, że nasz wszechświat jest zamknięty, wówczas biliony gwiazd swem promieniowaniem musiałyby tę przestrzeń nasycić. Ale, jak wynika z obliczeń, taka katastrofa wszechświatowi nie grozi. Przestrzeń wszechświata jest zbyt ogromna w porównaniu z tą ilością materji, jaka się w niej zawiera. Zamiana całego naszego wszechświata w promieniowanie, jak pokazuje Jeans, nie nasyciłaby go więcej niż rozpuszczenie ziarenka cukru w Atlantyku.

*M. Białęcki*





*Fot. Dr. A. Wietzorek — Zakopane.*

Dumne, wyniosłe, granitowe wieże...



*Fot. Pacific - Atlantic.*

W modlitewnym skupieniu



# Czciciele księgi Zohar

Napisał:

K. Marcinkiewicz

Czortków nad Seretem nie sprawia miłego wrażenia. Miasteczko nędzne, domy zaniedbane, Stada kóz skaczą po wyboistych ulicach, na rynku kilka koślawych dorożek, wychudłe psy zerkają na przechodniów.

Jednakże myliłby się ten, kto by chciał twierdzić, że w Czortkowie niema nic do obejrzenia. Jest to miasto cudów, cudów niezliczonych, gdyż codziennie, jak rok okrążył, dzieją się tam rzeczy niezwykle, a wieść o nich wybiega daleko poza granice Rzeczypospolitej, docierając do Rumunji, do Węgier, nawet do Wiednia.

Bowiem w Czortkowie zamieszkuje rabbi-cudotwórca, bezpośredni dziedzic tradycji wielkiego mędrca z Międzyboża, zwanego „Baal szem tof”, czyli człowiekiem dobrej sławy. Jednocześnie rabbi czortkowski jest stróżem świętej księgi Zohar, o której inteligentni Żydzi wspominają z niesmakiem, lub wręcz z niechęcią.

Kimże był ów Baal szem tof, lub krócej Beszt, założyciel sekty chasydów (od „chassidim” — nabożni), nietylko reformator reli-



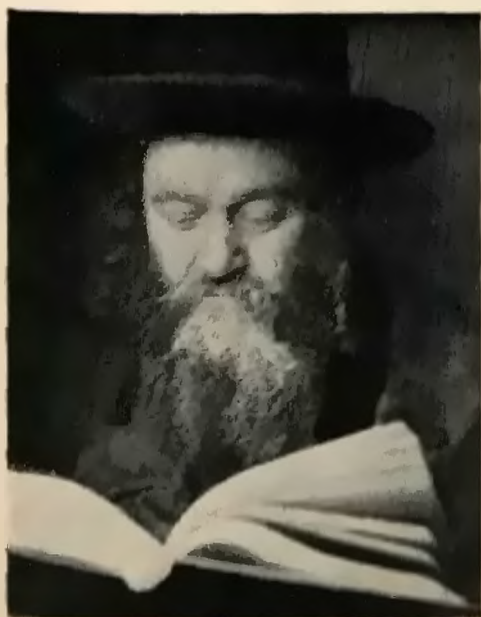
Cadyk z Czortkowa, dziedzic tradycji kaba-listycznych i stróż księgi Zohar. (Zdjęcie przypadkowe, gdyż przepisy religijne nie pozwalają mu pozować do fotografii)

gijny, co mąciwoda, fanatyk i uzurpator? Postać, bądź co bądź, niezwykła i zasługująca na uwagę.

Niestety wiemy o nim niewiele. Jeżeli odrzucić baśnie i legendy, wyrasta jednak ciekawa sylwetka. Beszt, którego prawdziwe imię brzmiało Izrael, był skromnym woźnicą w Międzybożu. Żył w połowie XVIII wieku, czyli w czasach, kiedy nie wszyscy Żydzi mieli nazwiska rodowe. Jak się zdaje, należał do tej ostatniej kategorii. Jedno jest pewne, że choć był biedny i niezbyt wykształcony, pilnie studiował zakon i talmud. Ale słowa Jehowy nie jaśniały dlań dawnym blaskiem, nie upajał się już ich brzmieniem. Nawet zawily i gadatliwy talmud nie mógł go porwać i umieścić do stóp Przedwiecznego.

W wysiłku odnalezienia drogi poprzez labirynt dziwnych rozumowań, Beszt chylił się nad księgą, przewracał kartki rozgorączkowanymi palcami i szukał cudu, szukał zbliżenia z Niebem.

Pewnego razu, jadąc na wozie, Beszt poczuł, że wstępuje weń dziwna jasność. Usłyszał anielskie głosy, ryk trąb i ujrzał proroka Eljasza, który przemówił w te słowa:



Rabbi Szpiro, „konsul” cadyka z Czortkowa



*Aby dostać się  
przed oblicze  
cudotwórcy,  
trzeba mieć  
„dziewiczą”  
brodę, której  
nigdy nie tknęły  
nożyce fryzjera.  
Na widok takiej  
brody sam  
Jahwe uśmiecha  
się z zadowo-  
leniem*

— Izraelu, zbliża się uczta szabasowa, a do Międzyboża daleko. Nie zdążysz, choćbyś podcinał konie. Zdaj się na łaskę bożą, zaulaj i czyni co ci podyktuje serce.

Wysłuchawszy tych słów, woźnica wykręcił się tyłem do koni, ukrył twarz w dłoniach i czekał. Nagle stał się cud. Cały zaprzęg uniósł się w powietrze i w ciągu kilku sekund stanął na rynku w Międzybożu.

Na widok takiego dziwu, ludność okrzyknęła woźnicę sędzią sprawiedliwym, co po hebrajsku tłumaczy się słowem „caddik”. Od tej chwili Izrael stał się cadykiem-cudotwórcą i dał początek licznym generacjom cadyków. Rabbi z Czortkowa, jak o tem wspomnieliśmy na wstępie, jest w prostej linii spadkobiercą jego nauk. Wyznawcy tego kierunku nazwali się pobożnymi, czyli chassidim, z czego powstał termin chasydzi.

Większość biednych Żydów Polski i Ukrainy wsiadła do cudownego zaprzęgu woźnicy z Międzyboża. Poodwracali się plecami do talmudu, który nie mógł ich zawieźć dość szybko do Królestwa Bożego. Uczynili tak, jak to zrobił ich mistrz: wzniesli się w obłoki i bujają po dzień dzisiejszy. Wszystko, co było w duszy żydowskiej pustego, tęsnego, niezadowolonego — zapełniło się nagle marzeniami. Ta dusza niesforna, na którą stale uskarżał się Mojżesz, której sam Jahwe nie mógł poskromić, teraz tonęła w mistycyzmie i szale.

„Należy w radości zanosić modły do stóp Przedwiecznego” powtarzał Baal szem. Słowa te stały się rytualną formułką. Wyznawcy nowej sekty zaczęli modlić się hałaśliwie,

trzaskając z palców, śpiewając, kołysząc się na wsze strony, aby całe ciało uczestniczyło w chwaleńiu Boga. Niektórzy nawet tańczyli i zwyczaj ten przetrwał w wielu bóżnicach.

Ponieważ narodowi wybranemu niezbędne są księgi, a stary talmud nie wystarczał, cadycy adoptowali najdziwniejszą z ksiąg, kanon wierzeń chasydzkich, świętą księgę Zohar.

Dotychczas nie przeprowadzono jeszcze gruntownej analizy tego dzieła. Księga Zohar jest oddalonym echem dociekań mędrców chaldejskich i perskich. Znajdujemy w niej olśniewające myśli Platona, Arystotelesa, Pytagorasa obok najciemniejszych zabobonów. Dopatrzyć się w niej można strzępów idei chrześcijańskich i arabskich obok astrologii, magji, metafizyki i chiromancji.

Pierwsze wydanie księgi Zohar, wzorowane na oryginałach hiszpańskich z XII wieku, ukazało się drukiem w Lublinie w roku 1623. Przez długi czas ten skarbiec mądrości i przesądów stanowił przywilej grona wtajemniczonych. Książka dostawała się do rąk tych tylko ludzi, których linje na dłoni dowodziły, że godni są być stróżami tajemnic. Z chwilą, gdy księgą zainteresowali się cadycy, treść jej stała się dostępniejsza dla ogółu, jednakże nie wszyscy chasydzi mogą pochwalić się zaszczytem czytania świętych wersetów. Ten tylko, kto odbędzie pielgrzymkę do Czortkowa i uzyska chwilę rozmowy z tamtejszym mędrcem, ma prawo do końca życia studjować księgę Zohar.

Każdy pociąg, zatrzymujący się w dni przedświąteczne na stacji w Czortkowie, wy-



rzuca na peron tłumy nabożnych. Wszyscy śpieszą do siedziby cadyka, wszyscy mają nadzieję, że rabbi ich przyjmie, poda na powitanie rękę lub przynajmniej pozwoli dotknąć palcem swej szaty.

Niestety, nie każdy z pielgrzymów dostąpi tego szczęścia. Surowy „szames” selekcjonuje przybyszów. Niektórych bez żadnej ceremonji, bez podania powodu, wyrzuca za drzwi, innych poddaje przesłuchaniu.

Zresztą wszystko jest względne. Ponieważ goście przywożą dary dla cadyka, „szames” ma ułatwiony wybór. Kto położy na stole złoty dukat węgierski z podobizną Franciszka Józefa, ten może być pewny, że rabbi przyjmie go łaskawie. Czasami wystarczy skórka z lisa, lub tłusta gęś, tuczona kukurydzą.

Przybysz, którego zakwalifikowano do grona wybrańców, przechodzi z kancelarji do drugiej poczekalni, ciasnej i zatłoczonej. W pobliżu szafy z „torą”, obok małych drzwi, sprawują straż dwaj rośli mężczyźni, uzbrojeni w laski sękatę. Drzwi prowadzą do prywatnych apartamentów cadyka.

W poczekalni panuje cisza. Czasami tylko rozlegnie się westchnienie, czasami zaszeleści atlas. Ten sam tłum, który podczas podróży napełniał wagon nieopisanym zgiełkiem, teraz siedzi w skupieniu. Jakże denerwujące jest oczekiwanie na cud.

Nagle otwierają się drzwi. „Szames”, niezbyt uprzejmym gestem, zaprasza gości do dalszych pokojów. Tych, którzy pchają się zbyt natarczywie, odpędza szturchanicami.

W długiej wąskiej sali siedzi świątobliwy cadyk. Siedzi za stołem, pod ścianą zdobną

w malowane desenie. Utkwił oczy w przybyszów, a wzrok ma tak przenikliwy, że najodważniejszych dreszcz zimny przenika.

Tempo audjencji jest szybkie. Do stołu podchodzą kolejno wielbicieli, popychani zlekka przez „szamesa”, i jednym tchem zwierzają się z trosk, niepowodzeń i zmartwień.

— Święty rebe, ja chciałbym mieć syna! Ja już mam cztery córki a syna ani jednego. Kto będzie śpiewał „kidysz” na moim grobie, jeżeli Przedwieczny syna mi nie ześle?

— Odejdź w spokoju — odpowiada cadyk — módl się i pość, a będziesz miał syna.

Uszczęśliwiony przybysz odchodzi, bowiem stał się cud, prawie cud, gdyż teraz syn będzie napewno. A gdyby znów narodziła się córka, co może się zdarzyć, to oczywisty dowód, że modlił się nie dość żarliwie.

— Rabbi — woła drugi interesant — rabbi, ty mnie ratuj! Ja jestem kołowaty, ja ciągle się martwię, ja już zrobiłem się chudy, ja nawet w szabas nie mam apetytu.

— Ja tobie zabraniam martwić się — krzyczy cadyk — ja tobie rozkazuję, żebyś był wesoly!

I pesymista oddala się z uśmiechniętą twarzą. Wszak święty rebe zabronił mu być smutnym, więc teraz radość zagości w jego sercu.

Cudów tego rodzaju dzieją się w Czortkowie tysiące, dziesiątki tysięcy. Każda rozmowa z rabbim jest cudem i każdy, kto cudu dostąpił, będzie o nim szeroko opowiadał po powrocie do swego miasteczka.

A wieczorem, gdy Czortków tonie w mroku, cadyk-cudotwórca zasiada do studjowania świętej księgi Zohar. Domownicy już

*Po odwiedzinach  
u cadyka, przy-  
jemnie jest  
pogawędzić  
na dworcu  
kolejowym  
o cudach, jakie  
się widziało*





*Cadyk rzadko opuszcza swą rezydencję, to też każde wyjście odbywa się z należytą pompą*

szą, tylko wierny „szames” czuwa pod drzwiami.

Rabbi przerzuca pośótkle kartki, które już setki razy przerzucał. Bowiem lektura księgi wspaniałości nie kończy się nigdy. Nie wystarczy życia siedemdziesięciu siedmiu pokoleń na jej przestudjowanie.

W wieloramiennym świeczniku płoną świece woskowe. Rabbi czyta księgę tajemnic, najoblędniejszą z ksiąg, jakie wydała wyobraźnia ludzka. Czyta i słyszy pienia aniołów, wdziera się do nieba i ogląda siedem wież poprzedzających przybytek, w którym jaśnieje Chwała Boża.

(Ciąg dalszy ze str. 49—50)

## Dział grafologa

### ODPOWIEDZI:

Z powodu wielkiego napływu korespondencji do działu grafologii, niniejszem podaję do wiadomości, że czytelnicy, którym zależy na pośpiechu, mogą otrzymać analizę grafologiczną w drodze listownej, przy dopełnieniu wszystkich warunków (bez wyjątku, aż do załączenia wycinku z „N. Ś.” włącznie), oraz dopłatą zł. 5.— za każdą ocenę. Należność w takich wypadkach należy posyłać do redakcji z wymienieniem jej przeznaczenia.

Pod koniec bież. miesiąca załatwię wszyst-

kich, którzy się zwracali z prośbą o załatwienie w drodze listownej. Dotychczas stał temu na przeszkodzie nadmiar pracy.

\*

Otrzymałmśmy, z prośbą o wydrukowanie, poniższą notatkę:

„Atom” najuprzejmiej dziękuje W-nemu Panu Grafologowi za niezmiernie trafną, wnikliwą i inteligentną ocenę, zamieszczoną w n-rze 85 „Naokoło Świata”.

(Dalszy ciąg w n-rze następnym)





# figle na plaży

Plaża morska...

Słońce praży. Podsmaża naskórek, wytapia niepotrzebny tłuszcz. Białą delikatną karnację zamienia na odcienie spżu. Jest to pora, kiedy ludzie zmieniają skórę, podobnie jak zmieniali ją stale w epoce człowieka jaskiniowego, jak zmieniają ją do dziś jeszcze ludy zamieszkujące strefy tropikalne, a nie znające mroków cywilizacji. Kulturalna Europa pozwala sobie na ten luksus swobody fizycznego odświeżania się zaledwie raz do roku. Ale też w okresie tym oddaje się bez trosce plażowaniu całkowicie. Tłumy zalewają wybrzeża morskie. Tu ucieka życie z rozprażonych murów miejskich i tu bawi się i figluje.

Orłowo, Gdynia, Jastrzębia Góra, Karwia, Wielka Wieś, Jastarnia, Hel — to główne ośrodki tej fenomenalnej kuchni przyrody, gdzie słońce gra rolę ognia, piasek — paletni, a człowiek mniej lub więcej udułnego kucharza smażącego rozbefy, kotlety i połędwice z własnego mięsa i na własną potrzebę.

(Tak było  
w lipcu  
i  
mogło być  
we  
wrześniu  
gdyby...  
polska  
jesień  
nie zawiodła...)





*...biegają na  
krótkich  
nóżkach nagie  
pędraki...*

*...a tuż przed  
oczami pręży  
się dorodne  
ciało kobiece...*

Pośród wybuchów śmiechu, bieganiny i pławienia się w dobrotliwym morzu prezentują się sobie nawzajem ciała i dobre humory.

Kiedy Doumer obrany został prezydentem Francji, prasa, szukając, jak zwykle, poza oficjalnym wyrazem dostojnika cech bardziej intymnych, znalazła jedną z nich w tem, że szanowny starzec nigdy się nie śmieje — nawet poza urzędowaniem. Doprawdy trudno w to uwierzyć. Trudno uwierzyć, że człowiek, zrzuciwszy z siebie balast ohowiązków społecznych, czy państwowych — a więc w chwili wypoczynku — nie będzie się uśmiechał, zachowywał trochę jak figlarz, a trochę nawet jak dziecko. Bo i dlaczegożby nie? Czyż nie usposabia do tego, na przykład, przebywanie na plaży morskiej, kiedy grzeje i pieści słońce i wygodnie układa się legowisko z piasku, a tuż przed oczami pręży się dorodne ciało kobiece, obryzguje się młodzież i biegają na krótkich nóżkach nagie pędraki?







Gotów jestem założyć się o to, że taki widok usposabia niefrasobliwie nawet najbardziej ponurego mruka, a coś dopiero kulturalnego Francuza. O tym braku uśmiechu jest to wierutna plotka, stworzona przez ludzi, którzy nie wzięli pod uwagę wszystkich okoliczności życiowych człowieka, a przede wszystkim plażowania. Bo gdzież tu myśleć wtedy o sztywnym, wyfraczonym dosłojństwie — własnem lub obcem? Gdzież tu mówić o sprawach niezwyklej wagi (z wyjątkiem spraw sercowych) — skoro ani własny, ciężko i komicznie zwisający w kąpielowym kostjumie brzuszec, ani sąsiedni trykot, raz w raz zasłaniający barwną parasolką mniej lub więcej fidjaszowe kształty, ani jedna przez drugą skaczące dziewczęce... nie mówią o niczem innem, jak o nieskrępowanej swobodzie wypoczynku.

A swoboda taka wywołuje dobry humor. Kwaśnieć można w knajpie przy kuflu piwa,





rozdymać się za biurkiem w dyrektorskim gabinecie, w zamkniętym mieszkaniu złorzeczyć wierzycielowi, który dzwoni w ciągu godziny pode drzwiami i poluje na ulicy. Na plaży trzeba się śmiać, bo na plaży wszyscy są sobie równi — nędzy. Nie — w trykotach, ale jest to mniej więcej to samo, skoro się zważy, że w try-

kocie niema kieszonki ani na legitymację, ani na portfel, a tem bardziej na weksel. Oto jeszcze jeden powód, dla którego plaża morska została „wymyślona” i stała się dobrodziejstwem cierpiącej na przerosty cywilizacyjne ludzkości.

Wśród rzeszy ludów posiadających plażę i my, Polacy, odgrywamy już poważną rolę. Bo kiedy przed dziesięciu jeszcze laty zaledwie kilkakset szczęśliwszych jednostek polskich, ginąc w tłumie obcych, przytulało się skromnie i niekrzykliwie na tej lub innej plaży, aby nie zdradzić swego pochodzenia —

*...wszystko mówi tu  
o nieskrępowanej  
swobodzie wypoczynku...*





dzisiaj mamy szereg własnych plaż morskich, wypełnionych nieomal po brzegi kilkudziesięciotysięczną rzeszą zdążającą tu rok rocznie, by rozprężyć mięśnie i odetchnąć nieskazitelnie czystym, nasiąkniętym jodem i solą powietrzem.

Bo i gdzież lepiej, jeżeli nie na plaży, odpoczywa całe ciało? Czy nie tam, gdzie nie krępuje go szata, choć może czasem powinienby krępować nieco wzrok sąsiada.

Nie żenuje wszakże, bo na niedołęzne, czy gatunkowo niższe kształty nikt nie patrzy, szukając czegoś miłszego dla oka. Te zaś, świadome swej efektowności, jakże umiejętnie wyzyskują sytnację, jakże absorbują swe mi wyczynami wszystkie podstarzałe słonie i krowy morskie! Dobrze o tem wiedzą matki panienek posiadających już wszystko gotowe do zamążpójścia, że właśnie to wszystko najkorzystniej jest zademonstrować na plaży.

Bo proszę tylko zważyć... Naprzykład taka panna Murka... o elastycznych, dobrze oprawionych nóżkach rozbierze się w ciągu minuty, nie mając właściwie wiele do zdjęcia z siebie poza pantofelkami i bransoletką z zegarkiem — przebiegnie wzdłuż plaży pod baterją lornetek i buch w objęcia bałwanów...

Trzech, czterech, pięciu, siedmiu już tańczy wokoło niej i pomaga w układaniu się wśród dekoracyjnych płam piasku i morza, parasolki i płaszcza — stanowiących tło dla wystawy ponętnych wdzięków. Bo jeżeli warunki plażowe pozwalają już, a poniekąd zmuszają do pokazania czegoś, to nie należy przesadzać ani w ostrożności, ani w wyborze tematu.

Rozpoczyna się cercle, pełen beztroskiego śmiechu i rakietowych dowcipów. Treść jego właśnie stanowi beztroskość.

To zbliża.

A potem nauka pływania... To również zbliża...

A potem za złotówkę łódeczką po fali morskiej, przepychanie się na trawie, dosiadanie gumowych rekinów, gra w olbrzymią piłkę, gonitwy i t. d. Czyż to wszystko razem może nie działać w pożądanym kierunku? A zwłaszcza pod opiekuńczym okiem matki, która roztopia się na plaży od słońca i z radości, że wreszcie może pozbędzie się nieocenionego skarbu i... uciążliwej pociechy.



Poluje również, acz nieco oględniej, i starsze pokolenie, szukając towarzystwa, aby się na tym gorącym piasku nie zanudzić z bezczynności i braku kłopotów swoich i obcych.

Oto układają się obok siebie, niby foki, dwie serdeczne przyjaciółki. Dzieci wysłały pod opieką freblanki nieco dalej, aby mieć więcej swobody.

Obie zdają się na kogoś czekać. Wreszcie jedna z nich zaczyna:

— Wiesz, proponował mi przejażdżkę na Hel... i był bardzo, bardzo...

— No i coż ty na to?

— Et, coż znowu... Przecież go nie znam... Odmówiłam... No, bo nie rozstaję się z tą swoją małpką.

— Na plaży to chyba nie szkodzi.

Wzruszenie ramion bez znaczenia. Cisza. Oczekiwanie. Wypatrywanie. Nagle ożywie.

— Idzie! Idzie... Ciekawa jestem, czy podejdzie...

Tymczasem pan z małpką mija przyjaciółki. Ledwie się uklonił. Podchodzi natomiast do takiej jednej, która rzuciła ramiączko z pleców i daje mu nóżką znak, żeby siadł obok. Siada i bawia się... niby małpką, choć widać, że chodzi o co innego. Ale otoczenie nie pozwala na intymności... Małpka przyciąga uwagę, więc szukają już łódki, żeby, niby to, spróbować, jak się jej wycieczka będzie podobać.

— No widzisz, coś podobnego! Już go wzięła! Ta poleci z nim na Hel, choćby w łódeczce.

Złośliwy uśmiech.

— Szkoda, żeś nie skorzystała. Pomyślał, że nic i szuka dalej...

— Nie to... Zobaczył, że nie jestem sama. Oburzenie.

— Otóż wiedz, że wczoraj proponował mi to samo, alem go wyśmiała.

Po tej przyjacielskiej gawędzie obie damy zajmują w stosunku do siebie wzajem pozycję, która przypomina dawnego orla rosyjskiego. Zresztą nie obchodzi to nikogo na plaży, a przede wszystkim pana z małpką i nowej jego znajomej, może bardziej czulej na propozycję, a może pierwszej, której istotnie przejażdżkę na Hel zaproponował.

Wprawdzie nieporozumienia takie nie trwają długo, bo na plaży więcej jest okazji do

porozumień, niż do scysyj. Zaledwie bowiem damy się ułożyły, a już musiały się zerwać, aby obejrzeć hydroplan lądujący pośrodku rzeszy plażowiczów — ku niezmiernej radości dziatwy, budującej zamki i forteczki z piasku oraz najdrobniejszych pędraków, które matki muszą dopiero oswajać z tym niezwykłym widokiem.

Starsze nieco dzieci orientują się już lepiej, bo taki Staszek odrazu występuje z rzeczowym pytaniem wobec „zaczytanego” ojca:

— Tatusiu! A gdzie ten hydroplan znosi jajka?

— Jak? — zakłopotał się ojciec, zdumiony uświadomieniem biologicznym swojej latorośli. — Dlaczego myślisz, że aeroplan ma znosić jajka?

— Przecież to ptak, bo fruwa... Więc gdzie znosi te jaja? — ryknął Staszek i tak się uparł, że ojciec, nie mający czasu na dłuższe wyjaśnienia, musiał mu wskazać pierwsze lepsze miejsce, gdzie mógłby tych hydroplanowych jaj szukać.

— Ale musisz kopać głęboko, bardzo głęboko — informuje dziecko, dając mu zajęcie na dłużej.

I chłopiec kopie. Jakże łatwo i „pedagogicznie” można zaspokoić natarczywość dzieci i znaleźć dla siebie potrzebną chwilę spokoju. Właśnie w tej chwili spogląda ku pojętnemu wdowcowi efektowna rozwódka. Zdaje się oczekiwać go tuż na brzegu, aby razem poszli się kąpać a może i porozumieli się bliżej. Nowa mamusia zapewne lepiej potrafi wytłumaczyć synkowi istotę hydroplanu. Ojciec spogląda na zajęte kopaniem dziecko, porzuca gazetę i bez namysłu idzie na spotkanie wyzywającego go losu.

Wogóle polityka, kłopoty służbowe, obowiązki rodzinne — odpływają gdzieś daleko, daleko...

Tam w głębi lądu dzwonią i krzyczą rozprężone i zakurzone miasta. Tu na plaży słońce daje ze wszystkich grzechów rozgrzeszenie i cichym szmerem kołysze do marzeń nie kończący się ruch morski i wieczne piękno kobiecego ciała.

Życie ludzkie ma i dobre swe strony. Zwłaszcza te, które zbliżają człowieka do natury i pozwalają mu zapomnieć o przepisach krępującej cywilizacji.

M. J.



# Jedziemy „Piętnastką”

Fot. Ruan.



Jeżeli wielu jest paryżan, którzy nigdy nie byli w Luwrze lub na Wieży Eiffla, to niewątpliwie znajdzie się dość warszawian, nie znających skarbów Muzeum Narodowego czy Zamku. Na setki tysięcy można liczyć tych, co krążąc między dwiema znanymi kawiarniami w śródmieściu, nie byli nigdy w Parku Traugutta. A jeszcze więcej będzie takich, co nigdy w życiu nie podróżowali... „Piętnastką”.

Bo „Piętnastka” to zupełnie swoisty w Warszawie tramwaj. Ona jedna, ze wszystkich linii, nie zawadza ani na chwilę o to zblazowane śródmieście. „Czwórka” ma choć Miodową i Plac Zamkowy, „24” ułamek Nowego Świata i Plac Trzech Krzyży, a „Piętnastka” nie — zupełnie nie.

Siadamy do niej na Dworskiej, w smutnej



dzielnicy, gdzie kominy fabryczne i pękate tanki gazowni, sąsiadują z ponuremi gmachami szpitala starozakonných. Publiczność „okolicznościowa”: Jakiś bezrobotny, dalej gruba Żydówka w peruce, do której tuli się stworzenie wychudłe



i wystraszone, z wylupiastymi oczami znamionującymi chorobę Basedowa (widać matka odbierająca córkę ze szpitala), dalej jeszcze dwóch przedstawicieli mniejszości narodowej, charakteryzujących jej zawile prądy: stary poważny Żyd w chałacie z siwą

brodą patriarchy, i młody „szajgec”, ubrany nieco przesadnie, z ręką na temblaku. Założyłbym się, że ranny w jakiejś komunistycznej awanturze.

Dwa przystanki, zakręt i oto Wola: olbrzymi splót torów, prowadzących do remiz i budynków dyrekcji tramwajów warszawskich. Naprzeciwko jaskrawy szyld kina „Italja” — „24 akty śmiechu i łez, oraz występy artystów” — wszystko to za jedno sto groszy. Często w braku „panem” — „circenses”.

Publiczność napływa świeża. Panusie w chustkach, niektóre z koszykami, „panowie” w cyklistówkach i papierosem zgniecionym w kąciku ust. Konduktor







musi przestrzegać, że w wagonie nie wolno palić. Twarze często inteligentne i ładne, — niestety z nieodłącznym stygmatem alkoholu, a często i suchot.

Oto i szpital Wolski, przytulony nieśmiało do starych rogatek, dziś więcej niż sześć kilometrów od właściwej granicy miasta leżących. Niejedna tragedia rozegrała się w murach tego przytuliska prawdziwej nędzy, gdzie chorym w dzień dokucza turkot wozów i tramwajów, oraz rumor pobliskiego Kerce-laka, a w nocy tenże turkot, urozmaicony krzykami mętów ulicznych. Naprawdę — dzielnica Wolska, co nietylko pije i dźga nożami, jak pragnie tego niesłusznie prasa brukowa, — ale także pracuje (i to jak, — może najdzielniej z całej Warszawy!), zasługuje na lepszy szpital dla swych weteranów i in-



walidów co zdrowie w walce o byt na froncie pracy sterali.

Chłodna, Żelazna, Leszno, — dzielnice znane. Publiczność znów się odmienia. Zwiększa się napływ inteligencji, inteligencji niesłusznie pracującą zwanej, — boć jakże skojarzyć można pojęcie inteligenta z pojęciem człowieka nic nie robiącego. Osobnik posiadający wrodzoną inteligencję, a tkwiący



w nieróbstwie, plakiem niebieskim będący, nie zasługuje już wszak na honorowy tytuł żołnierza armii inteligentów.

„Narożnik wiatrów” u zbiegu Rymarskiej, Leszna i Przejazdu, gdzie policjant z białą paleczką tkwi na niebezpiecznym stanowisku wśród mijających się tramwajów, autobusów, platform, taksówek, ciężarówek, wózków i dorozek, — zupełnie jak pogromca w klatce z dzikimi zwierzętami. Zwykły śmiertelnik zostałby tam przejechany w ciągu pięciu minut, a choćby i cudem ocalał, nie wytrwałby ani chwili dłużej w tym piekle. A nasz „granatowy” stoi jak w spiż zakuty, i tylko ręka,

uzbrojona w białą paleczkę, rozkazuje owym tysiącom koni-żywych i mechanicznych.

Róg Bielańskiej i Tłomackiego: najbardziej zbliżony do śródmieścia punkt linii i miejsce przesiadania. Przybywa nieco mieszkańców Żoliborza — oficerów, urzędników, literatów, — nieszczęśników relegowanych na tę Syberję, która jest i miła i malownicza i wszelkie szanse rozwoju mająca..., ale, ale... Ale — Żoliborz stanie się „dostępny” dla świata dopiero po zbudowaniu warszawskiej kolei podziemnej. Kiedy z Placu Wilsona na Plac Napoleona jeździć się będzie 10 minut, wówczas liczne rzesze tamtejszych mieszkańców stwierdzą z radością, że rzeczywiście mieszkają w Warszawie a nie... na wsi. Bo wiem dziś szybciej można przyjechać do śródmieścia z Pruszkowa czy Błonia niż z Żoliborza.

Jedziemy dalej... Oto szary gmach arsenału-więzienia i położone za nim remizy straży nalewkowskiej. Po przeciwnej stronie chuderlawa zieleń Ogrodu Krasieńskich. Wjeżdżamy w warszawskie „ghetto” — Nalewki. Nie są tak malownicze, jak londyński White-chapel, ale za to stokroć więcej... brudne. Wystarczy popatrzeć na straszliwe, pstrokatę, zbrukane i wypłowiałe szyldy, na wejścia do sklepów niemyte od stworzenia... Nalewek, na autochtonów... Les extrêmes se touchent: Nędza i kapitał wiodą tu bujny żywot.

Muranów! Na placu dwóch „natives” rozmawia z ożywieniem. Prawdopodobnie skarżą się na ciężkie czasy, wymieniając firmy, które w ostatnich dniach zrobiły „benkele” i „regulują” na 20%. Także swoisty proceder wzbogacania się, którego nie przewidział w kodeksie karnym prawodawca.

Znów zmiana dekoracji. Jak tylko remiza muranowska pozostaje za nami, publiczność w tramwaju zmienia się gwałtownie. Znikają przedstawiciele „mniejszości”, których ostatni Mohikanie wysiadają na Dworcu Gdańskim. Wzamian zaś przeważają widocznie „żoliborzanie”, z dużą domieszką „marymontczyków”.

Ci ostatni nie są jednak, jak to ktoś ze starej gwardji sądzić mógłby, weteranami

słynnej ongi uczelni. Nie, — to poczciwy luddek, zamieszkujący rojną i ubogą, choć szybko rozwijającą się dzielnicę północną.

Pod podwójnym torem kolei obwodowej i dalej wzdłuż stoków cytadeli, tramwaj wkracza teraz na swój najbardziej malowniczy odcinek. Wdali Wisła, Krzyż Traugutta, mosty kolejowe, ponury rondel dawnego fortu „Aleksego”. Dużo zieleni, teren falisty, weselszy dla oka. Żoliborz!

Po specjalnem torowisku jedziemy szybko. Przystanki „żużlowane”, charakterystyczne dla nowych dzielnic, zasilają nas teraz słabo. Ale na tramwaje w przeciwnym kierunku czeka już sporo pasażerów. Przeważają wśród nich barwne stroje kobiece, oraz brydżesy, buty i ostrogi Armji.

Gmachy naprawdę okazałe i aż żal się robi, że takich niema w śródmieściu. Jak długo będziemy jeszcze zmuszeni ukazywać cudzoziemcom, u wylotu Dworca Głównego, ohydne rudery rozsiane wzdłuż Marszałkowskiej i ponure „kamienice” naszego City. Niedarmo Warszawa uchodzi za miasto najbardziej „zagęszczone” na świecie.

Teraz opuszczają nas „żoliborczycy” definitywnie. „Czternastka” i „Siedemnastka”, mające swój kraniec na Placu Wilsona, zegnają nas zdaleka. Pędzimy dalej już po pojedynczym torze, wzdłuż szosy modlińskiej. Oto i widny zdaleka młyn w Słodowcu, potem zakręt, silny spadek i ciałniutkie uliczki Marymontu, w których wielki wagon z ledwością toruje sobie drogę. Miejscami wydaje się, że wszystkie te drewniane, pochylone, zmurszałe domki przewrócą się od samego tchnienia elektrycznego potwora. Ale ten jedzie ostrożnie, dzwoniąc gęsto i płosząc wraz z niesforną czeredą dziatwy, kury, kaczki i wylegające się leniwie bezdomne psy, po które żaden rakarz nie zechce się w te strony fatygować.

A teraz na zakończenie mała idylla. Miniaturowy stawek, rzeczulka, w której brodzą milusińscy, łódki, jakaś „guinguette” — z altankami. Wokoło pętlica „Piętnastki”, ozdobiona gustowną poczekalnią. I podróż się kończy, a właściwie zaczyna na nowo, w odwrotnym kierunku.





Kiedyś podobno „Piętnastka” ma „wyrośnąć” aż do niedalekich już Bielan. Ale przecież tramwaj — powolny zawałidroga — jest już dziś przeżytkiem. Należałoby tam raczej doprowadzić szybkobieżną kolej miejską, w śródmieściu podziemną, — na krańcach prowadzoną w wykopie lub na wiadukcie. Wówczas dopiero, ten jedyny bodaj malowniczy podwarszawski zakątek stanie się dostępny dla mieszkańców stolicy.

*Jim*



# Dokumenty zabezpieczone na 10.000 lat

Wielkie trzęsienie ziemi, które w roku 1923 pogrążyło w głębokiej żałobie Japonię, wzbudziło w całym narodzie gorące pragnienie, aby nazwiska tych, którzy utracili życie podczas tego kataklizmu, zostały zebrane i utrwalone w niezniszczalnej formie, na wieczną rzecz pamiątkę.

Przez kilka lat prasa japońska dopominała się o wykonanie tego projektu, naznaczając 10.000 lat, jako praktyczny okres czasu, w ciągu którego podobny pomnik dokumentalny miałby przetrwać. Dziesięć tysięcy lat — to imponujący ogrom czasu, gdyż w długiej historii Japonii nawet sama era Jimmu, datująca się od wstąpienia na tron cesarza Jimmu, była tylko o 2500 lat dłuższa, czyli że biorąc rzecz praktycznie, 10.000 lat odpowiada pojęciu wieczności.

Wybitny Japończyk H. Nogata, który był burmistrzem Tokio w czasie okropnej katastrofy, stał się jednym z najgorliwszych propagatorów wielkiej idei uwiecznienia imion poległych. Za jego przyczyną powierzono wreszcie wykonanie wiekopomnego dzieła Towarzystwu Elektryczności w Tokio, a właściwie jednemu z jej inżynierów p. Yamaki, którego zadaniem było wynalezienie sposobu zabezpieczenia cennego dokumentu od niszczących wpływów czasu. P. Yamaki znał doskonale długowieczność ciemnoniebieskiego papieru japońskiego, pokrytego napisami ze złotej farby, którego używano ongiś przy sporządzaniu skryptów buddyjskich. Lecz recepta, zawierająca tajemnicę wyrobu tego cennego materiału, zaginęła w mroku ubiegłych stuleci. Pozostawało więc tylko użyć białego japońskiego papieru nowoczesnej fabrykacji, i tuszu chińskiego do wypisania na nim nazwisk poległych. Tego rodzaju papier, o wyjątkowych zaletach, został sporządzony specjalnie przez pewną rządową fabrykę, w ilości 548 arkuszy, o wymiarach 26 na 68 centymetrów, ważących około 10 kilogramów.

Na tych arkuszach kaligrafowie wypisali nazwiska ofiar katastrofy. Inne arkusze zawierały opis powstania pamiątkowych skryptów, nazwiska inicjatorów, wreszcie ustęp z ksiąg buddyjskich.

Pozostawała sprawa najważniejsza — zabezpieczenie wypełnionych arkuszy od zniszczenia.

Jedna z japońskich instytucji naukowych zalecała umieszczenie ich w szklanej butli, z której następnie zostałoby wyciągnięte powietrze, a wprowadzony na jego miejsce azot. Butla, po hermetycznym jej zapieczętowaniu, otrzymałaby futerał ołowiany, i została by zakopana w ziemi.

Przyjmując w zasadzie powyższą metodę, inż. Yamaki uznał za konieczne wprowadzenie do niej szeregu zmian, gwarantujących niezniszczalność dokumentów.

A więc w pierwszej linii zamiast szkła postanowił zastosować kwarc topiony. Materiał ten, jak wiadomo, jest bardzo trudny w robocie, posiada jednak cenne zalety, gdyż jest mało łamiwy i doskonale opiera się znacznym i nagłym wahaniom temperatury. Z tego to materiału postanowiono zrobić naczynie, mające zawierać dokumenty.

W tym celu kryształ kwarcu brazylijskiego zostały stopione w piecu elektrycznym i uformowane w szereg pałeczek, które po połączeniu zapomocą płomienia wodorotlenowego, utworzyły butlę o średnicy 12 i wysokości 30 centymetrów, zaopatrzoną w szyjkę. Ponieważ trudno byłoby zrobić jedno naczynie odpowiedniej wielkości, sporządzono cztery podobne butle. Do wnętrza ich włożono po 3 pierścienie, zrobione ze stopu metalowego „mouel”, składającego się z niklu, miedzi i żelaza, bardzo odpornego na wszelkie korozje. Pierścienie te owinięto taśmą azbestową, a środkowy przyozdobiono poza tem wstążeczką jedwabną o czarnobiałych kolorach, na znak żałoby.

W tak przygotowane butle wsunięto arkusze z imionami poległych, zwinięte w rulony, poczem wyciągnięto z butli powietrze, napełniając je argonem — gazem neutralnym — przy temperaturze 80°C, poczem zalutowano ich szyjki. Następny proces polegał na owinięciu butli kilku warstwami taśmy azbestowej.

Wreszcie butle zostały włożone do ołowianych walców, które znów otoczono ochronnymi walcami, wykonanymi z karborundu.

Jako miejsce wiecznego spoczynku dla dokumentów zabezpieczonych w powyższy niezwykły sposób, wybrano starą buddyjską świątynię, zbudowaną ongiś na górze Koya. W tej to świątyni będą złożone listy ofiar katastrofy.

K.





Fot. Z. Klinger i Szigethy.

KASZYNO POWSZECHNE  
KRAKÓW, RZĘBAK GŁ. 13.

Płasi mędrzec marabu!



*Photo-Plut.*

Piękno natury i zabytków



# Za kulisami nowojorskiej rozgłośni

Jedną z atrakcyj programów radiowych, nadawanych przez rozgłośnię nowojorską (The National Broadcasting Co), jest zdumiewająco wierna imitacja różnych dźwięków naturalnych i mechanicznych, wysłupujących w produkcjach stacji nadawczej.

Słuchacze więc podziwiają, gdy z głośników ich aparatów dobiega gwizd lokomotywy i jej ciężki oddech, trzask drzewa płonącego na kominku, groźny pomruk oddalonego grzmotu, cichy plusk fali u piaszczystych brzegów, wreszcie huk bomb eksplodujących i grzechotanie kulomiotów.

Jeśli bowiem niektóre z tych dźwięków możnaby schwytać wprost z natury, to inne zato, jak np. silne eksplozje i salwy karabinowe, wywołane naturalnie, groziłyby zniszczeniem kosztownych urządzeń i budynku studjo.

Ołóż wszystkie te charakterystyczne dźwięki bez wyjątku są wytwarzane zapomocą specjalnej i w wielu wypadkach nader pomysłowej aparatury, budowanej *ad hoc* przez oddzielne laboratorium mechaniczne, gdzie cały zastęp pracowników stale pracuje nad udoskonaleniem urządzeń i przyrządów do efektów dźwiękowych.

Jednym z ostatnich aparatów, powstałych tam, jest przyrząd, zwany „koleją o jednym pracowniku”. Składa się on z drewnianego pudła kwadratowego, o boku jednego metra, i zawiera wewnątrz cały komplet mechanizmów, przeznaczonych do jak najdokładniejszego naśladowania dźwięków, związanych z eksploatacją nowoczesnej kolei, a więc: wydechu pary z cylindrów lokomotywy, uderzeń kół o złącza szynowe, zgrzytliwych gwizdków sygnałowych, skrzypienia klocków hamulcowych, dociskanych do kół, i brzęku różnych części poruszającej się maszyny.

Przed zbudowaniem tego niezwykłego przyrządu konstruktorzy laboratorium spędzali godziny całe na liniach kolei Pensylwańskiej, na Long Island, aby schwytać żywcem liczne odgłosy i dźwięki swoiste, wydawane przez potężny organizm pracującej kolei, i wcielić je niejako w martwy mechanizm przyrządu.

Innem znów urządzeniem jest tablica, posiadająca szereg różnych syren samochodowych, aż do budzącej grozę swym dźwię-

kiem syreny, używanej przez pędzącą straż ogniową w Nowym Jorku.

Za dotknięciem szeregu guzików odpowiedni zespół syren samochodowych zaczyna ogłuszający koncert, tak charakterystyczny w godzinach wieczornych dla dzielnicy teatralnej wielomiljonowej Metropolii.

Do wywoływania oddalonych grzmotów służy specjalny bęben, składający się z wielkiej ramy drewnianej, na której naciągnięty jest gruby pergamin, a pociąganie za sznurek, przywiązany do skórzanego dna wielkiego kubła, wyśmienicie oddaje groźny ryk lwa. Wreszcie szereg przeróżnych piszczałek imituje głosy ptaków.

Kawałek sztywnego papieru, zmięty ręką przed mikrofonem, wydaje szmer, do złudzenia przypominający w głośniku trzask drewna, płonących w kominku.

Odgłosy strzałów z broni palnej osiąga się, uderzając w wyścielaną deskę drewnianą listwą, a szelest krzaków, przez które przekradają się zwierzęta, wytwarza się w bajecznie prosty sposób, przebiegając palcami w słomianej miotle.

Ulewny deszcz uskutecznia się przez sypanie soli na woskowany papier, umieszczony przed mikrofonem.

Niemniej pomysłowy, aczkolwiek nader prosty, jest przyrząd, naśladowujący doskonale plusk leniwych fal morskich u piaszczystych brzegów. Jest to poprostu koło, otoczone pustą obręczą, pokrytą miedzianą siatką i zawierającą wewnątrz garstkę suchego grochu.

Jako źródło wielu efektów dźwiękowych, pochodzenia atmosferycznego, służy t. zw. „maszyna do wiatrów”, czyli koło uzbrojone w łopatki i pokryte osłoną muslinową. Jest wprost zadziwiające, ile różnych efektów można osiągnąć zapomocą tego bezpretensjonalnego przyrządu. Skoro np. koło kręci się wolno, łopatki, uderzając w muslin, wydają dźwięk, ludzko podobny do tego, jaki powstaje od powiewu lekkiego letniego wiatarka; przy dużej zaś prędkości obrotów koła dźwięk staje się podobnym do ryku huraganu. W ten sposób, modulując ilość obrotów przyrządu, można wytworzyć burzę o żądanym natężeniu, i to tak naturalnie, że zawstydzi się samą naturę.

Odpowiednio do ducha czasu obecne au-

dycje muszą często uwzględniać udział samolotów. Efekty dźwiękowe w tym wypadku osiąga się zapomocą szeregu pasków rzemiennych, połączonych w jeden pęczek. Paski te wprowadza się w ruch zapomocą prądu powietrza z wentylatora. Uderzając w mniejsze lub większe bębny, ustawione obok, wywołują one dźwięki, odpowiadające silnikowi samolotu, puszczanemu w ruch, wreszcie idącemu pełnym biegiem.

Jak widać z powyższego opisu, aparatura do efektów dźwiękowych w ogromnej roz-

głośni nowojorskiej jest prostej, jakkolwiek nader pomysłowej, konstrukcji.

Inną jest rzeczą, że posługiwanie się temi aparatami z należytym skutkiem wymaga nieprzeciętnej zręczności i ogromnej wprawy ze strony operatorów.

To też specjalista - mechanik, stojący na czele tego niezwykłego działu, otrzymuje wynagrodzenie, którego nie zamienilby przypuszczalnie na pensję prezydenta Stanów Zjednoczonych.

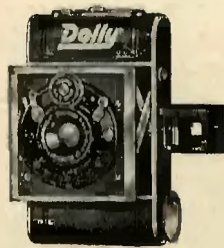
Z.

## Wszędzie tam

gdzie chcecie „pstryknąć” bez przeszkód lub niepostrzeżenie (na wycieczkach górskich podczas upałów, przy nagłych zdarzeniach) stosujecie małą i poręczną

# **Dolly**

3 × 4 cm



wymiary tylko: 2,6 × 6,5 × 10,9 cm, a więc wygodnie da się umieścić w kieszonce u kamizelki. Zmiana błony po 16 zdjęciach. Za jednym ruchem gotowa do zdjęć!

Optyka pierwszorzędných marek o dużej sile światła 4,5 3,5 i 2,9 zapewnia ostre obrazki i umożliwia duże powiększenia. A przytem DOLLY jest istotnie warta swej ceny!

Żądajcie okazania modeli u swego dostawcy! Specjalne prospekty bezpłatnie!

**CERTO-CAMERA-WERK, DRESDEN-ZSCHACHWITZ 710**



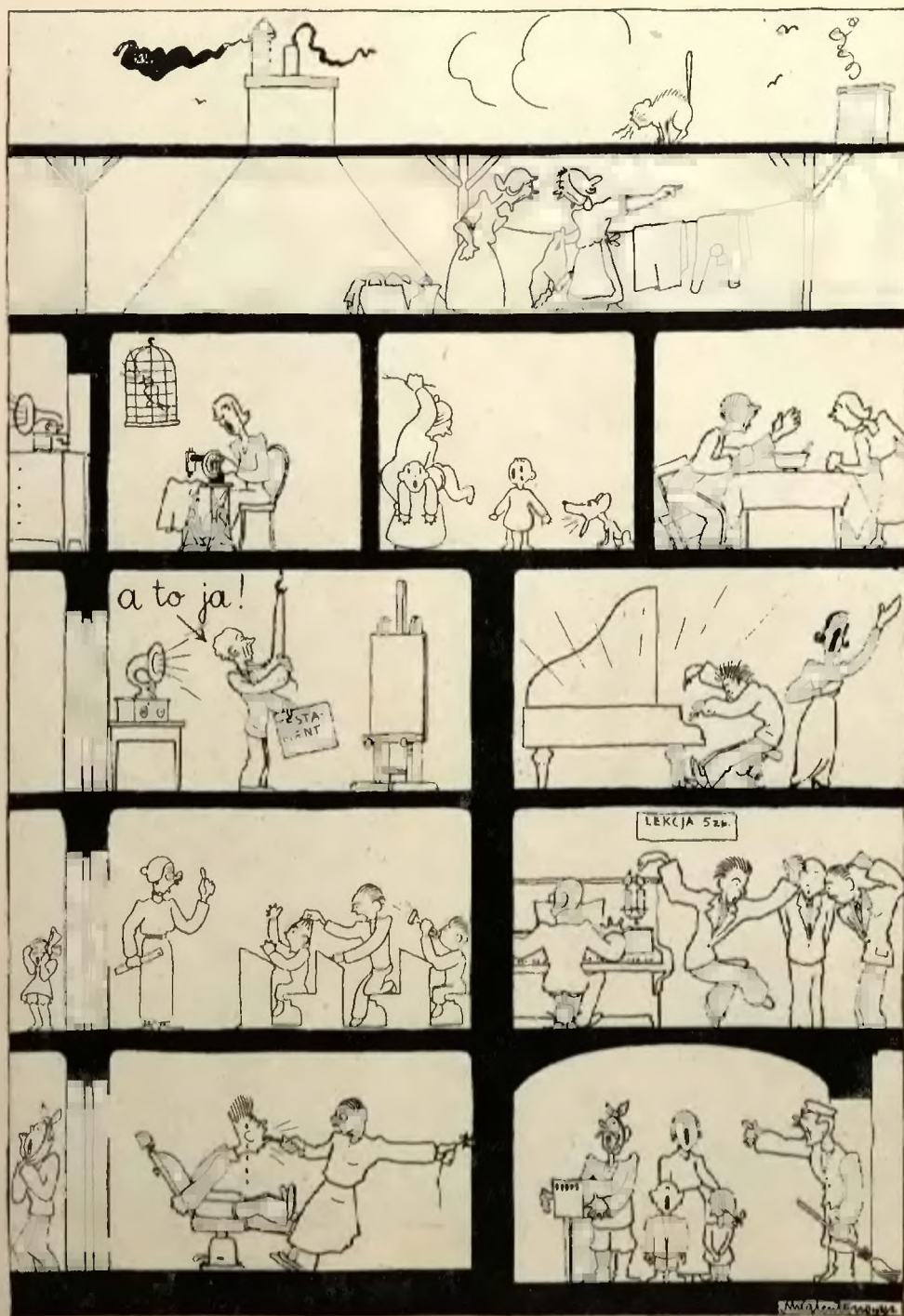


Fot. Dorys

*Trochę mi wstyd... ale tak lubię się fotografować...*

# Cichy dom w śródmieściu

Rys. M. Walentynowicz



Niech moim sąsiadom Pan Bóg przebaczy!



# Filmy sezonu

Tegoroczny sezon filmowy rozpoczął się wyjątkowo wcześnie, bo już w drugiej połowie sierpnia, gdy zazwyczaj rozpoczyna się dopiero w końcu września. Powodem tego była nie tyle obfitość przygotowanych na sezon dobrych filmów, ile pogoda, a raczej jej brak, co skłoniło licznych urlopowiczów do wcześniejszego powrotu z uzdrowisk i stacyj klimatycznych.

Właściciele kin, znając psychologię i upodobania publiczności, szykują zazwyczaj na ten okres co najlepsze obrazy, dowodem czego ostatnie filmy wyświetlane w stolicy, jak „Miljon”, „X 27” i „Szary Dom”, oglądane na otwarcie sezonu w Warszawie.

Żeby uczynić zadość ciekawości i zainteresowaniu miłośników kina, zrobimy krótki wykaz cenniejszych obrazów, jakie poszczególne wytwórnie obiecują nam pokazać w bieżącym sezonie.

A więc wytwórnia amerykańska Paramount, która wypuściła na rynek w ubiegłym sezonie takie filmy, jak „Parada Miłości”, „Monte-Carlo” i „Maroko”, zapowiada następujący repertuar.

Na czele produkcji tej wytwórni kroczy „Tragedja amerykańska”, najnowszy obraz reżyserji J. Sternberga, osnuty na tle powieści Teodora Dreisera. W filmie tym ujrzymy trzy nowe nicznane jeszcze u nas gwia-



Marlena Dietrich z córeczką  
i  
Liljana Harwey w jednym  
ze swych filmów  
tegorocznych





zdy: Silwję Sidney, Frances Dee i Filipa Holmesa. Warto zaznaczyć, że autor powieści T. Dreiser, który wystąpił przeciwko wytwórni Paramount z zarzutem sfalszowania idei „Tragedji amerykańskiej”, sprawę swą w sądzie przegrał.

Najgroźniejsza rywalka Greta Garbo — Marlena Dietrich po swym triumfie w „X 27” wystąpi jeszcze w dwóch filmach. Pierwszy — to „Kobieta między lwami”, drugi nosi tytuł „Niedyskretna”.

A Chevalier?

Pierwszym tegorocznym sukcesem popularnego artysty i piosenkarza będzie rozśpiewany i roztańczony „Wesoły Porucznik” reż. Lubicza, twórcy filmów „Parada Miłości” i „Monte-Carlo”. Ilustrację muzyczną do tego filmu napisał specjalnie sprowadzony w tym celu z Wiednia Oskar Strauss, który prócz swych znanych walczyków dokomponował jeszcze pięć nowoczesnych przebojów.

W zespole aktorskim tego filmu obok Chevaliera figurują jeszcze: urocza Claudette Colbert oraz nowa gwiazda Miriam Hopkins w roli księżnej.

Poza „Wesołym porucznikiem” Moryś nagra jeszcze dwa obrazy, z których jeden p. t. „Życie jest piękne” również realizuje Lubicz.

Clive Brook przebywa obecnie wraz z Schoedsackiem, twórcą „Czanga” i „Rango” w dżungli bengalskiej, gdzie realizowany jest obraz p. t. „Życie wojownika bengalu”.

Słynny George Bancroft, bohater „Ludzi podziemi” i „Zapomnianych twarzy” wystąpi w obrazie morskim „Ludzie morza”.

Bohater „Marocca” — Gary Cooper wystąpi w filmie o niesłychanie ciekawej, pełnej dramatycznego napięcia akcji p. t. „Ulice miasta”. Partnerką jego jest bohaterka „Tragedji amerykańskiej” — Silwja Sidney.

Popularny komik Harold Lloyd gra w dwóch komedjach dźwiękowych o nienastalonych jeszcze tytułach.

Anna May Wong wystąpi w filmie „Córka moka”. Sensacją tego filmu będzie ukazanie się po jedenastu latach znów na ekranie Sessue Hayakawy — bohatera słynnej swego czasu „Bitwy pod Czuszymą”. Poza tem Pa-

*Miriam Hopkins (u góry)*

*i Tallula Bankhead*



Co mi zrobisz? Myślałem że cię poślubię.

Konkurs na najlepszy podpis  
czy się opłaci? do tej fotografii? Czy on mnie kocha?



Ty... czy wieś. Nie wyglądasz na 10.

Irena Gawęcka

Niecham do on o mnie myśleć?  
Projekty podpisu prosimy nadsyłać pod adresem redakcji

Fot. Doris

Niecham czy jestem ładna?

# ROZRYWKI UMYŚLOWE

## VIII TURNIEJ ZADANIOWY

Od numeru niniejszego poczynając na łamach tego działu ukaże się 20 zadań rozmaitego typu ogłoszonych *VIII Turniejem Zadaniowym*. Każdemu z uczestników za rozwiązanie zadania turniejowego zalicza się pewną ilość punktów, które po zakończeniu turnieju będą zsumowane. Osoby które zdobędą największą ilość punktów otrzymają *nagrody turniejowe*; udziela je wydawnictwo „Naokoło Świata” ilościowo proporcjonalnie do liczby rozwiązujących (nie mniej jednak, niż 1 nagroda na 25 osób). Prócz tego, za rozwiązanie dowolnego zadania z bieżącego numeru, przeznacza redakcja miesięcznika *nagrody miesięczne*, a kierownik działu *nagrody powitania* (dla nowoprzybywających Czytelników działu, którzy dotychczas udziału w turniejach nie brali) — w drodze losowania. *Nagrody specjalne* przeznacza wydawnictwo za najładniej i najestetyczniej wykonane *rozwiązania rysunkowe* (tuszem) i najlepsze *rozwiązania wierszowane*, które poza tem zostaną zamieszczone na łamach działu.

Rozwiązujący winien podać swoje nazwisko i imię oraz dokładne miejsce zamieszkania. Rozwiązania pseudonimowe są uwzględniane, jednak z warunkiem podania nazwiska do wiadomości redakcji działu. Rozwiązania zbiorowych nie uwzględniamy.

Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem: *Redakcja „Naokoło Świata” — Warszawa, Zgoda 12 — „Rozrywki Umysłowe”*.

Termin nadsyłania rozwiązań zadań z każdego numeru upływa mniej-więcej w *pięć tygodni* po wyjściu zeszytu.

*VIII Turniej Zadaniowy* zostanie ukończony do połowy roku przyszłego. Po ogłoszeniu rozwiązań podamy *Spis uczestników Turnieju* z wyszczególnieniem zdobytych punktów, po czem ogłosimy *Spis nagrodzonych*.

**SPIS NAGRÓD:** Wydawnictwa luksusowe i albumowe, arcydzieła polskiej literatury, najnowsze wydania Gebethnera i Wolffa, wydawnictwa artystyczne (monografie), gratysowe prenumeraty „Tygodnika Ilustrowanego” i „Naokoło Świata”.

**KONKURS AUTORSKI:** Wszystkie zadania objęte *VIII Turniejem* podlegają ogólnemu głosowaniu rozwiązujących. Po ukończeniu turnieju (tj. przy nadsyłaniu rozwiązań ostatnich zadań bieżącego turnieju) każdy z uczestników winien podać, które trzy zadania uważa kolejno za najlepsze. Głosy „plebiscyto-we” zostaną zsumowane i podane przy rozstrzygnięciu turnieju, autorzy zaś zadań, które zdobędą trzy pierwsze miejsca, otrzymają *nagrody autorskie*.

### 1. SZYFROWANY LOGOGRYF.

(Za rozwiązanie 3 punkty).

W podanej figurze należy zastąpić każdy znak odpowiednią literą w ten sposób, aby litery czytane od góry do dołu w rzędach pionowych utworzyły czytelnaście wyrazów. Litery w oznaczonych krótkach, czytane poziomo, dadzą rozwiązanie.

**Znaczenie wyrazów pionowych:** 1. Flaga okrętowa z herbem państwa. 2. Ludowy instrument muzyczny, złożony z piszczałki i mieszka, trzymanego pod pachą do naciskania. 3. Narzędzie do mlócenia ziemiopło-

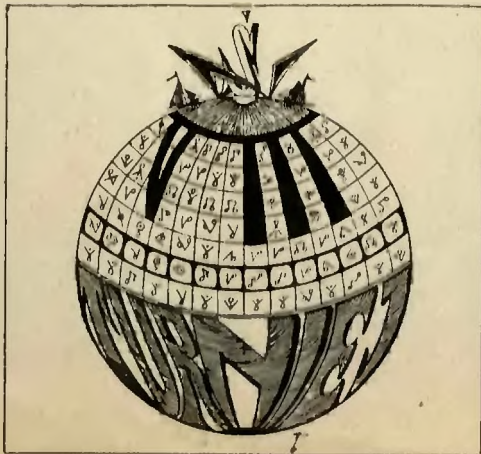
dów. 4. Wychwyt okrętowy. 5. Część Polski. 6. Tyran, ciemiężca. 7. Mechaniczny instrument muzyczny. 8. Owad. 9. Omdlenie, nagłe osłabienie. 10. Szlak. 11. Łódź wenecka. 12. Zwierzę z rodziny psów. 13. Łeba. 14. Zaslona.

Czesław Hardan

### 2. KRZYŻ MAGICZNY (Za rozwiąz. 4 punkty)

W podanej na str. 166 fig. należy poprzestawiać litery w ten sposób, aby utworzyły się cztery wyrazy poziome i cztery, jednoznaczne z poprzednimi, pionowe, krzyżujące się wzajemnie w środkowej części figury.

**Znaczenie wyrazów:** 1. Czarodziejskie zwierciadło, dające obrazy zmienione, rozszerzone, zwięzłe. 2. Dwie







# ROZWIĄZANIA

## ZADAŃ VII TURNIEJU ZADANIOWEGO

„Naokoło Świata” nr. 80:

### 6. LOGOGRYF



Rozwiązanie „Logogryfu” (6) z VII Turnieju Zadaniowego wykonane przez p. Jana Straliłato z Warszawy

Wyrazy poziome: *Konterfekt. Obieżyśas. Bakterje. Jankesi* (wspak). *Elegja. Tyran. Amen. Złe. Mi.*

Pierwsze litery, czytane od góry do dołu, i ostatnie, czytane z dołu do góry, dają rozwiązanie: *Kobieta zmienna jest.*

Najciekawszym transformacjom uległ wyraz pierwszy, który u jednych brzmiał jako *Konterfekt*, u drugich *Kopersztyt*, a u innych jeszcze fantastyczniej. Sporo trudności nastroił wyraz drugi (*Ostbauers!*), jak również niesłusznie traktowano *Elegję* jako *Etüde*. Reszta przeważnie w porządku.

Na temat „Logogryfu” p. Jolanta Stasiakowa z Grabek pisze co następuje, koncentrując uwagę przede wszystkim na trzech postaciach okalających figurę zadania:

„Trzy *konterfekty* po bokach trójkąta mamy przed sobą. Myśl się żwawo krząta, jak *obieżyśas*, co na obcej niwie przez całe lato pracuje skwapliwie i, jak on, chce pokonać trudności wszelakie. Zaczniemy więc zadanie, boć nie trudne takie! Starszy pan, popod wąsem nieco uśmiechnięty, jakgdyby Turniejowcom chciał dodać zachęty, to poważny profesor, co w całym swym życiu nad *bakterjami* pracował w ukryciu. Obok — młodej dziewczyny widna podobizna; jakaż jej narodowość i jaka ojczyzna? Strojna w brylanty, perły szyję opasują, że to córka *Jankesów* niezbitcie wskazują. Smętna i zamysłona jej twarzyczka drobna, artyście grającemu *elegję* podobna. I nareszcie ostatnia, brudami zorana, dziwna twarz — napół błazna i napół tyra. O zmroku przed

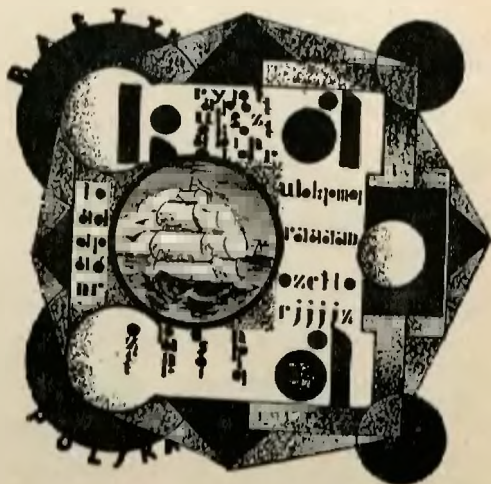
portretem z tajemniczą twarzą niejeden się przeżegna i *amen* powtarza, bo *złe* oczy nie-rzadko uroki rzucają, a ci co *mi* nie wierzą, niech się przekonają. Wszystkie już wizerunki wreszcie opisane, czy trafnie — niech osądzą Czytelniczki same i stałością ród męski zawstydzą niemile, aby śpiewać przestali — *la donna è mobile!*”

Urażona kunością protestuje z rozbrajającą szczerością przedewszystkiem z racji ukrytego rozwiązania: *Kobieta zmienna jest!*, co jednak nie należy za *złe* poczytywać. Inaczej wygląda krótkie *postscriptum* p. Klary Michalskiej z Morzysława, która na dictum p. Kazimierza Denasiewicza (autora „Logogryfu”) odpowiada poprostu: *...A mężczyźni to niby nie?!*... Odpowiadamy w zastępstwie: *Ma się wi!*...

### 7. ODA SZARADOWA

Czy znasz ten kraj?

Cztery sylaby i... czterdzieści cztery warjantów każdej z nich, prócz pierwszej, którą zgodnie określono jako — *czy*. Druga sylaba — *chce, chcę, chcesz, znam, znasz, mam, masz* itd. Trzecia sylaba — *ten, ta, mój, me, pan* etc. Czwarta sylaba — *wiersz, raj, kwiat, cel, los, znak, dział, dar, świat, wdzięk* i reszta innych niedorzeczności. Teraz prosimy spróbować



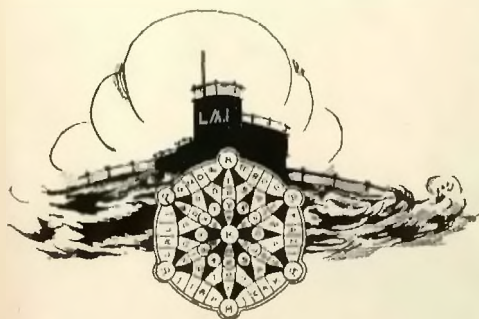
Rozwiązanie „Wizjanki morskiej” (8) z VII Turnieju Zadaniowego wykonane przez p. Franciszka Grochockiego z Warszawy



utworzyć z podanych chociażby sylab wszelkie kombinacje, nie wnikając ani w treść „Ody szaradowej”, ani w dźwięk sklepionego zdania, a będziemy mieli część oryginalnego zbioru sentencji utworzonych przed naszych Turniejowców. Z całego jednak pliku listów wyluskaliśmy, prócz trafnych rozwiązań, kilka kulturalnych na ten temat krytyk, opartych jednak na... nieporozumieniu. Dajemy im spokój, a przytaczamy zwrot p. J. S. z G. pod adresem autora „Ody szaradowej”:

„Inżemko! Oda Twa otwarta już me serce — na sonet czekam wciąż w tęsknocie i rozterce... Lecz spytać chcę, zanim napiszesz wiersz: Czy znasz ten kraj, który mnie wskazać chcesz?”

## 8. WIĄZANKA MORSKA



Rozwiązanie „Wiązanki morskiej” (8) z VII Turnieju Zadaniowego wykonane przez p. Leonarda Fryca z Warszawy

Kryta. Kapota. Kulsha. Kokota. Kabina. Koldra. Aurora. Alazja. Akacja. Apatja. Alafja. Agnoza. Opona. Zaspa. Cnota. Triga. Ladan. Odpór.

Rozwiązanie zasadnicze — Polski Bałtyk.

Może być i Bałtyk polski! Ale Bałtyk Polaka, to ani z wyrazów, ani ze spisu liter nie wychodzi. Tak samo Bałtyk i Polak albo Polska-Bałtyk.

W niektórych rozwiązaniach Turniejowcy nie podawali, widocznie dla odmiany, wyrazów zasadniczych, co powodowało nieważnienie rozwiązania.

Ze słów luźnie i niesłusznie do „Wiązanki morskiej” wplecionych, a często wylapywanych, ułożyliśmy następujący bukiet: Abazja, Alagja, Alafja (!), Gedan, Klisza, Ladin, Ladan, Nadal, Odpar, Otoka, i... Bakterje, które, niewiedomo w jaki sposób i z jakiej racji, znalazły się zamiast w „Logogryfie” (6) — w „Wiązance morskiej”.

Pozostawiając błędy na pastwę ołówka korektorskiego i wracając do rzeczy mniej politycznych, zwracamy uwagę naszych Czytel-

ników na rymowane rozwiązania sprawy. P. Janusz Wenda z Warszawy naprzykład, w ten sposób pisze:

„Dzwon już wyśpiewał z chmur przestworza radosną pieśń! Zabłysnął szmaragd morza! Błysnęło tysiąc złotych fal i zagrzmiał róg eolski: — Ojczyzna nasza wolność ma i nasz jest Bałtyk Polski!”

P. Julian Szwed z Wilna łączy w rozwiązaniu swoim tematy „Wiązanki morskiej” i „Logogryfu” (7):

„Czy znasz ten kraj, ten piękny kraj, gdzie Wisła toczy fale, gdzie szumi wciąż Mendoga gaj, gdzie dumny milczy Wawel? Gdzie w ziemię wrósł kominów las, gdzie zbóż się chylą lany, gdzie Polski Bałtyk pelen kras w tysiącu barw skąpany? O, poznaj kraj, ten piękny kraj, tę polską poznaj ziemię, i przeszłość jej rycerską znaj co w mroku wieków drzemie! Wsłuchuj się w rytm milionów serc, co w polskiej biją piersi, bo serca te — ten milion twierdź — obrońcy najwierniejsi!”

## 9. ZAGADKA LITERACKA

S-ewer

Ewer-s

Zamiast długich wywodów podajemy „krótkie” zestawienie tego, na co się nasi Turniejowcy zdobyli:

1. Or-Ot, Grot. 2. Or-Ot, Root. 3. Prus, Rusp(!). 4. Prus, Grus. 5. Prus, Kruse. 6. El...y, Ley. 7. Boy, Foy. 8. Zan, Man(n). 9. Belmont, Delmont. 10. Kremer, Remerk(!). 11. Conrad, Konrad. 12. Goetel, Goethe. 13. Aspiro, Sapiro. 14. Ortwin, Rotwin i t. d., i t. d.



Rozwiązanie „Rebasa konikowego” (10) z VIII Turnieju Zadaniowego wykonane przez p. Tadeusza Pazurkiewicza z Tarnowa







# Świat naszych Czytelników

*Mika, Krzyś (Bończucha) i Janusz  
lub  
wogóle nasze „pociechy”*



*A to my sama* **KASYNO POWSZE  
KRAKÓW, RYNEK GŁ**  
*Fot. Leszczyński*

*„Po kąpielii”*

*Fot. Z. Budzyna-  
Dawidowski*



# NIEMA POLSKI BEZ MORZA NIEMA MORZA BEZ FLOTY WOJENNEJ

## ODDZIAŁ PROPAGANDY FLOTY WOJENNEJ

L. M. i R.

WARSZAWA — CHAŁUBIŃSKIEGO 3 — TEL. 8-21-80

Prowadzi propagandę wśród społeczeństwa drogą wydawnictw, odczytów, konferencyj, kina i radja, zakłada biblioteki okrętowe, opiekuje się marynarzem, dąży do uchwalenia programu morskiego i ustawy o rozbudowie floty wojennej.

W ciągu rocznej działalności (15/IX 1930 — 15/IX 1931) wpływy O. P. F. W. wyniosły:

Na P. K. O. konto 30680 . . .	Zł. 138,532,41
inne wpływy . . . . .	„ 4.875,37
Wydatki tylko . . . . .	„ 3.634,60

Oddział nie zatrudnia płatnych pracowników i z sum wpłaconych drogą ofiarności publicznej nie dokonywa żadnych potrąceń na koszty handlowe lub administracyjne.

### JEŚLI PRAGNIESZ SILNEJ I BOGATEJ POLSKI

wpłać w miarę możliwości na

**P. K. O. 30680**

(własne konto Kierownictwa Marynarki Wojennej).